Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 45 (267)
Rok VI
13 XI 1966 r.

Jan Grygiel

Na marginesie czy w centrum?

Czy to dobrze czy źle — zadawałem sobie ciągle pytanie przy zwiedzaniu Zakładowych Domów Kultury na Podkarpaciu. Im więcej uzyskiwałem informacji, im lepiej widziałem bieżącą działalność każdego z poszczególnych domów kultury i szczegółowiej zapoznawałem się z planami pracy na bieżący rok k. o., tym trudniej mi było jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć.

Zacząłem od wizyty w Domu Kultury Górnika Naftowca w Krośnie. Długo rozmawialiśmy z niestrudzonym w uprzejmości, wieloletnim kierownikiem placówki Wiktorem Łąckim. Jak się okazało z rozmowy, niestrudzonym również i pełnym zapału, umiejętności, dobrej woli w działalności kulturalnej. Mimo bowiem trudnych warunków, o czym będzie mowa później, Dom Kultury może się poszczycić dużą dynamiką działania i różnorodnością form. Posiada bogato rozbudowany dział oświatowy (3 cykle odczytowe stałe, 4 prelekcje miesięcznie, łączone z projekcją filmów oświatowych oraz co niedziela pogadanki i filmy dla dzieci), który obsługuje przede wszystkim młodzież z pobliskiego Technikum Naftowego i Technikum Włókienniczego. Ponadto prowadzi się tu kursy trzech języków — angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego, uniwersytet dla rodziców oraz zespoły zbiorowych korepetycji z fizyki, matematyki i języka polskiego dla uczniów.

W dziale pracy artystycznej kilka zespołów (regionalno-folklorystyczny, teatralny, taneczny dziecięcy, orkiestra smyczkowa, zespół akordeonistów i dziecięcy zespół żywego słowa) wiąże mocno z Domem Kultury około 200 osób. Wreszcie, istnieją również zespoły twórczości amatorskiej w dziedzinie modelarstwa lotniczego, rysunku i malarstwa, fotografii, działa Amatorski Klub Filmowy i Klub Tańca Towarzyskiego.

Przyjmijmy, iż niektóre z wyliczonych tu zespołów będą pracować bardziej efektywnie i dynamicznie, inne mniej, sporo z rozmaitych przyczyn przestanie istnieć, mimo to jest się czym pochwalić. Łatwo da się zauważyć, że jakąś specjalnością w pracy artystycznej tego Domu Kultury jest teatr i to od wielu lat. Jeszcze przed wejściem do biura kierownictwa oglądałem pamiątkowe tablice ze zdjęciami z różnych spektakli, granych przez tutejsze zespoły w różnych latach. Świadczą one dobrze o ambicjach repertuarowych i artystycznych amatorów. Grano tu m. in. „Zaczarowane koło" Rydla, „Intrygę i miłość" Schillera, „Wielkiego człowieka do małych interesów" Fredry, „Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego, „Kalinowy gaj" Korniejczuka i „Tu mówi Tajmyr" — Arbuzowa. Obecnie zespół teatralny przygotowuje dwa przedstawienia: „Niespodzianki" Roztworowskiego i widowiska regionalnego „Swaty" Wiktora Łąckiego. Tak, właśnie tego samego Wiktora Łąckiego, który nie tylko kieruje tą placówką, lecz od dawna z powodzeniem próbuje sił w reżyserii i dramatopisarstwie. Jego sztukę „Wichry życia" grano również na scenie tego Domu Kultury. Dzięki jego pasji życiowej utrzymuje się tu żywe zainteresowanie teatrem.

Zwiedzamy później wszystkie pomieszczenia Domu Kultury i ta wycieczka daje mniej powodów do zadowolenia. Ogólne wrażenie — ciasnota, brak przestronności i warunków do pracy. Ładna sala teatralna z bardzo szczupłym zapleczem bywa ciągle wykorzystywana na imprezy i konferencje miejskie i powiatowe nie związane z pracą placówki — biblioteka (7 tysięcy tomów) stłoczona w tak małej klitce, iż właściwie nawet bibliotekarka nie ma możliwości dostępu do wszystkich książek, niektóre zespoły pracują w ponurych salkach w suterenach... Budynek Domu Kultury nie jest zbyt duży i okazały — nie przypomina pałaców, takich jak ZDK w Mielcu, Stalowej Woli czy Gorlicach, a mimo to gości u siebie lokatorów, którzy blokują sporą ilość pomieszczeń i bardzo utrudniają pracę. Tu bowiem mieszczą się biura Zarządu Okręgu Związku Zaw. Górników, odbywają się ciągłe narady i odprawy związkowe. Wszelkie próby protestu i interwencji ze strony ZDK przeciw coraz większemu ograniczaniu jego przestrzeni życiowej kończą się niepowodzeniem, gdyż trudno się buntować przeciw swej bezpośredniej władzy. Na parterze blokują lokale sklepy, które przecież miasto powinno dawno stąd przenieść gdzie indziej (jedyny Dom Kultury w województwie z działalnością handlową w swoim obrębie). Jak tu marzyć w takich warunkach o masowości form pracy, o szerokim oddziaływaniu na społeczeństwo... Między innymi dlatego po opuszczeniu placówki trudno mi było odpowiedzieć na pytanie, czy to dobrze czy źle, że tak się tu pracuje, w takim stylu i w takich warunkach.

• • •

Za chwilę znajduję się po drugiej stronie Krosna, w drugim Zakładowym Domu Kultury, krośnieńskich hut szkła. Jest to bowiem, jedyne miasto u nas, w którym pracują dwa ZDK. Wprawdzie ten drugi istnieje dopiero od sierpnia br., gdyż przedtem działał jako Klub Fabryczny. Mieści się w starym, dość obszernym pałacyku, w parku — jak na placówkę kulturalną usytuowany znakomicie. By już nie wracać do spraw lokalowych trzeba stwierdzić, że i tu ciasnota i lokatorzy — przedszkole i zakładowa przychodnia lekarska; sala teatralna skromna, jak w wiejskiej świetlicy, zaplecze sceniczne uniemożliwia występ większego zespołu teatralnego. Mimo iż Dom Kultury znajduje się dopiero w „rozruchu" pracuje tu już sporo zespołów. Ale w przeciwieństwie do Domu Kultury naftowców tu dominują zainteresowania muzyczne (zespół bigbeatowy, big-bendowy, kapela ludowa, orkiestra dęta, dziecięcy zespół mandolinistów, zespół muzyki rozrywkowo - tanecznej i zespół estradowy skupiają łącznie około 100 muzyków amatorów). Gra się tu z zamiłowaniem i powodzeniem skoro „wygrano" I miejsce na festiwalu okręgowym Zw. Zaw. Chemików w Tarnobrzegu (zespół bigbendowy) i I miejsce na ogólnopolskim festiwalu tegoż związku w Tarnowie (orkiestra dęta). Istnieje także zespół teatralny dorosłych i teatrzyk kukiełkowy, lecz do ich działalności nie przywiązuje się tu tak dużej wagi, jak do działalności muzycznej. ZDK prowadzi także wiele innych form pracy, m. in. kursy języków obcych, naukę gry na fortepianie i gitarze, kurs tańca towarzyskiego, ale te spotyka się w każdym domu kultury. Działalności odczytowej na razie nie zaplanowano, gdyż brak instruktora oświatowego. Wolny etat czeka na obsadę. Na upowszechnienie zasługuje pomysł emocjonalnego wiązania pracowników z zakładem pracy przez takie np. imprezy, jak konkurs na piosenkę o hucie czy konkurs fotograficzny na temat „Czym się hutnicy zajmują po pracy" (z tą formą spotkałem się także w Domu Kultury górników. AKF tamtejszy nakręcił film pt. „Praca i wypoczynek nafciarzy").

Można by wiele usterek i niedociągnięć wytknąć tej placówce, można zarzucać jej brak rozmachu w działaniu, niedostateczne zaopatrzenie w sprzęt audiowizualny (to samo zresztą dotyczy Domu Kultury naftowców), ale chroni ją taryfa ulgowa — zaczyna dopiero pracę jako ZDK. Ale już widać, że nawet eksmisja ośrodka zdrowia z budynku, która ma nastąpić z końcem br. nie stworzy warunków do masowej działalności kulturalnej. W tym starym gmachu zawsze będzie niewygodnie i za ciasno. Mówi się tu o konieczności budowy nowego okazałego gmachu dla ZDK — ten stary pełni do czasu funkcje zastępcze. I tu wyłania się problem, który poddaję pod rozwagę obydwu zakładom i związkom zawodowym chemików i górników. A gdyby tak zbudować wielki ultranowoczesny dom kultury międzyzakładowy! Kombinat kulturalno-oświatowy przystosowany w pełni do masowego oddziaływania na środowisko robotnicze. Czy istotnie muszą być w Krośnie dwa ciasne, niewygodne i konkurujące ze sobą nieco chałupniczymi metodami pracy k.o. domy kultury zamiast jednego, ale w pełni funkcjonalnego? Takie porozumienie i wspólna inicjatywa byłyby dobrym przykładem koordynacji, o której tyle wszyscy mówią, lecz zawsze w odniesieniu do sąsiadów.

Zwiedzam jeszcze z wielkim smakiem urządzony lokal klubu zakładowego ZMS „Szklaną grotę" znajdującą się w piwnicach gmachu. Trudno mi powiedzieć czy klub tętni życiem i działaniem, bo nie zastaję w nim nikogo. No, ale jest dość jeszcze wcześnie — może wieczorem jest inaczej. Wymarzone to miejsce do kameralnych spotkań, dyskusji, wieczorów literackich i artystycznych, które, jak mnie zapewniają od czasu do czasu, są w klubie organizowane. Także odbywają się tu często wieczorki taneczne i rozrywkowe cieszące się wielkim powodzeniem.

• • •

Sprawy lokalowe najgorzej chyba przedstawiają się w ZDK Autosanu w Sanoku. Cztery pomieszczenia i jedna sala widowiskowa na 260 miejsc, to wszystko czym się tu dysponuje dla szerokiej działalności kult.-oświat. I tu bowiem istnieje dużo różnorodnych zespołów

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Miroslav Holub

LENIN

Dziesiątego października
tysiąc dziewięćset siedemnastego roku
(wiedząc o świecie więcej
niż sto filozofujących świstaków zza katedr,
więcej niż sto ryczących sztabów generalnych)
siada na zwyczajnym krześle
w Smolnym,
przez chwilę ściska ołówek,
a potem
na świstku papieru
szybko,
jak sekundowa wskazówka
zegara dziejów
(bez fanfar i ogni bengalskich)
pisze:
„Rezolucja o zbrojnym powstaniu..."
A tego już nie wymażą.
Ani modlitwami. Ani spływem stuleci.
Ani ogniami bengalskimi.
Ani trinitrotoluenem.

Z czeskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

MIROSLAV HOLUB

należy do najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej poezji czeskiej. Urodził się w roku 1923 w Pilźnie, studiował biologię i medycynę. Od czasu debiutu w roku 1957 (zbiór wierszy pod tytułem „Dzienna służba") ogłosił ogółem 6 tomów poetyckich: „Achilles i żółw" (1960), „Elementarz" (1961), „Idź i otwórz drzwi" (1961), „Dokąd płynie krew" (1963), „Tak zwane serce" (1963) oraz „Anamneza" (1964). Wydał również zbiór reportaży z podróży po Stanach Zjednoczonych „Anioł na szynach" (1963). Jeśli pierwsza publikacja Holuba podejmowała stosunkowo wąski temat dnia powszedniego i pracy w różnych dziedzinach, to następne książki przyniosły znaczne rozszerzenie zainteresowań poety w kierunku doświadczeń historii oraz syntezy współczesności, na którą składają się wyniki badań przyrodniczych i humanistycznych, osiągnięcia techniki i postępu społecznego. Humanizm Holuba konkretyzuje się i zaostrza, podejmuje często satyryczne polemiki zarówno ze zjawiskami przeszłości, jak i teraźniejszości. Kształtem formalnym utwory Holuba przypominają niekiedy twórczość Tadeusza Różewicza, nawiązują również do publicystycznego charakteru wierszy Brechta. W sumie jednak poezja Holuba odznacza się własną, oryginalną formą wypowiedzi poetyckiej i zróżnicowanymi środkami wyrazu, zachowuje przy tym czytelność myśli i komunikatywność. Zamieszczony przez „Widnokrąg" wiersz „Lenin" pochodzi ze zbioru „Achilles i żółw", reprezentuje społeczną lirykę poety: wszedł on do obszernego wyboru twórczości Miroslava Holuba, przygotowanego ostatnio przez tłumacza.

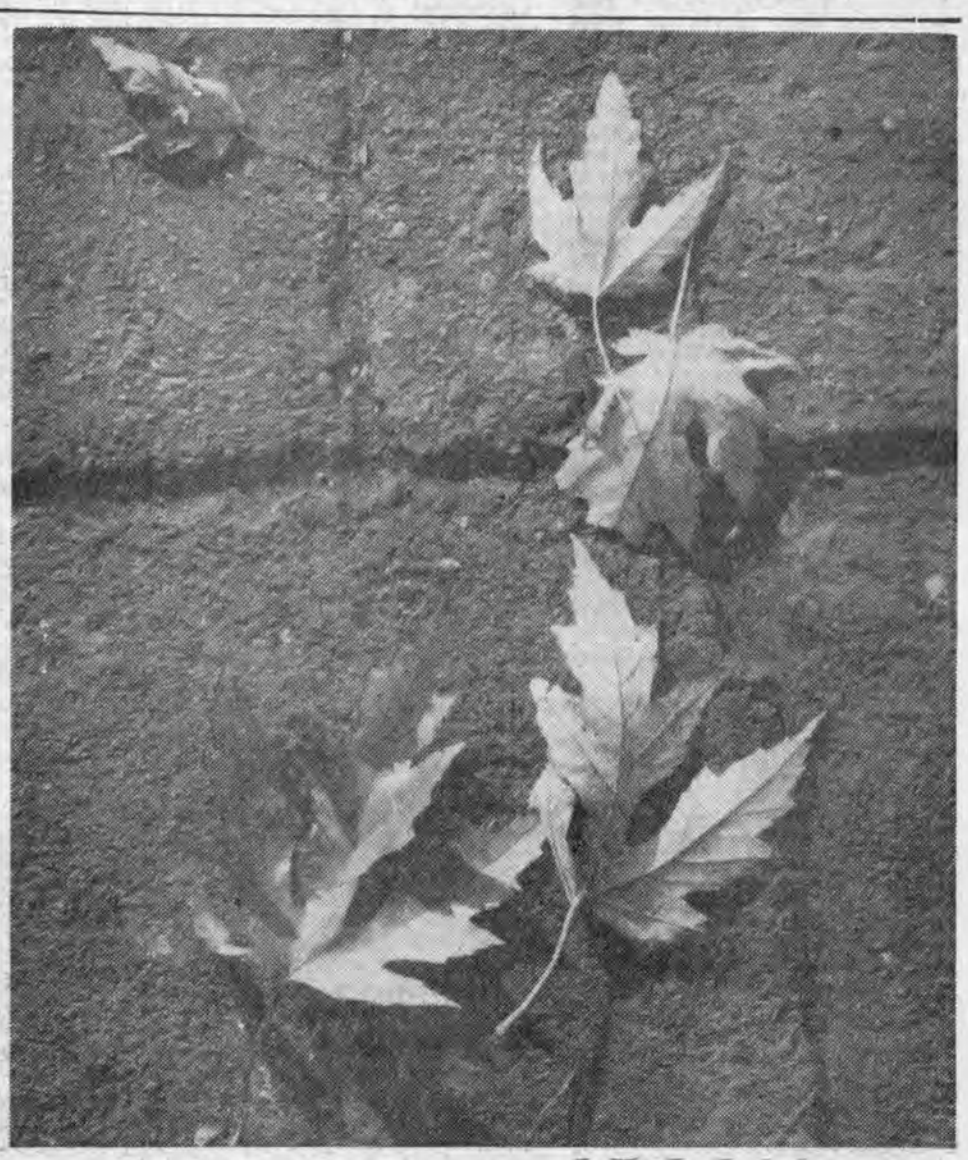

fot. M. Kopeć

Julian Woźniak

Na amatorskiej estradzie

(Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych)

Na wojewódzkim przeglądzie zespołów estradowych właśnie Teatr Słowa Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie zajął pierwsze miejsce, zdobywając jednocześnie prawo reprezentowania województwa rzeszowskiego na koncercie centralnym Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Powyższy werdykt nie nastręczał zresztą żadnych kłopotów. Tutaj, przy ocenie tego zespołu, nie było wątpliwości. Decyzja członków komisji festiwalowej, powołanej przez CRZZ, była jednomyślna!

Teatr Słowa „Meluzyna" był zdecydowanie najlepszym estradowym zespołem z tych, jakie przewinęły się przez festiwalową estradę w czasie wojewódzkiego koncertu (niedziela, 6 XI 1966 r., Zakładowy Dom Kultury Zakładów Przemysłu Gumowego w Dębicy). Odbijał poziomem od pozostałych finalistów.

Cechuje go przecież pełna dojrzałość sceniczna, kultura żywego słowa oraz duże walory inscenizacyjne. Te elementy stawiam na równi z doskonałymi tekstami inż. Władysława Szwai. Rzeszowianie zgłosili bowiem do festiwalu... Rzeszowską Szopkę Satyryczną (teksty i scenografia Władysław Szwaja, reżyseria Erazm Buchelt, opracowanie muzyczne Andrzej Listwan). I ich decyzja okazała się w pełni uzasadniona.

A co dalej? Po „Meluzynie", na równi, na jednym poziomie stawiam trzy zespoły: Teatrzyk Diagnozy „Lancet", działający przy Międzyzakładowym Klubie Pracowników Służby Zdrowia w Przemyślu (kierownik i reżyser Leonard Czajka, kier. muzyczny — Wojciech Władyczyn, opracowanie plastyczne Ernest Pank), Zespół Estradowy „Skra" ZDK Zakładów Przemysłu Gumowego w Dębicy (kierownik, reżyser i autor tekstów — Jerzy Maślanka, opracowanie muzyczne — Kazimierz Salachna i Jerzy Szymaszek) oraz Teatrzyk Estrady „Kaktusik" tarnobrzeskiej „Tapimy" (teksty — Bogdan Śmiech, choreografia — Antoni Wołczko).

Te trzy zespoły mają wiele wspólnych zalet, lecz prezentując swoje programy na festiwalowej estradzie, każdy z tych zespołów popełniał jednocześnie swoje błędy i ujawnił niedopracowane partie.

Wszyscy bez wątpienia członkowie wyżej wymienionych zespołów, to entuzjaści estrady, którzy dla swojego teatrzyku poświęcają wolny czas, wyrzekają się wielu innych przyjemności. Estrada nie jest przecież ich profesją — lecz zabawą i to zabawą pożyteczną, z której też i inni mogą skorzystać, bawiąc się razem z wykonawcami estradowych programów.

W dzwon alarmowy jednak należy uderzyć tam, gdzie artyści-amatorzy zaczynają traktować swoje sceniczne wcielenia li tylko ku uciesze gawiedzi. Od tego momentu do gwiazdorstwa, w ujemnym tego słowa znaczeniu, już bardzo blisko. Toteż w malutki na razie alarmowy dzwoneczek pozwolę sobie zadzwonić niektórym wykonawcom dębickiej „Skry". A może i przemyskiemu „Lancetowi" należałoby leciutko zadzwonić?

Jako się rzekło, trzech finalistów wojewódzkiego przeglądu zespołów estradowych z Przemyśla, Tarnobrzega i Dębicy stawiam na jednym i to stosunkowo wysokim poziomie artystycznym, zważywszy, że mamy do czynienia z zespołami amatorskimi niezwykle trudnej dyscypliny artystycznej, jaką jest sztuka estradowa. Każdy z nich ma swoje zalety i... wady.

Przemyski „Lancet" zaprezentował na przeglądzie program „Historia i big-beat" według tekstów B. Miecugowa, T. Kwiatkowskiego i J. Stwory. Największą zasługą „Lancetu" jest spopularyzowanie świetnych tekstów znanych krakowskich satyryków. Na plus trzeba również zapisać pomysłową ich inscenizację... Lecz, niestety. Reżyserowi zabrakło umiaru i duża część programu, część muzyczna (big-beat), zaważyła na wyraźnym obniżeniu oceny. Nie dlatego, że członkowie komisji są przeciwnikami mocnego uderzenia. Bynajmniej! Tylko po prostu — zachwiano tutaj zupełnie proporcję. Część pierwsza, dzięki doskonałym tekstom, potrafiła widzów zainteresować, trzymać w napięciu, raz po raz wywoływać oklaski przy otwartej kurtynie. Natomiast część druga była tak zwanym oklapnięciem zainteresowania. Monotonne uderzenia w struny gitar elektrycznych i jeszcze bardziej monotonne zawodzenie piosenkarzy, przy skandalicznym stanie aparatury mikrofonowej — nikogo nie przekonało, że przemyślanie ułożyli swój program zgodnie z wymogami estrady.

Wykonawcy dębickiej „Skry" byli na imprezie festiwalowej wyraźnie bez formy. Za wszelką cenę chcieli zabawiać licznie zgromadzoną na swym koncercie publiczność, lecz nieco program „przefajnowali"! (właśnie ten dzwoneczek!). W odróżnieniu od przemyskiego „Lancetu", tutaj strona muzyczna stanowiła „najsilniejszy punkt programu", była na najwyższym poziomie. Również dobrzy soliści-piosenkarze. Na szczególne wyróżnienie zasługują niektóre pomysły inscenizacyjne. Świetna np. inscenizacja piosenki o polowaniu, interesująca w zamierzeniu, ale, niestety, nie w wykonaniu, scenka „Pociąg do Rio". Bardzo dobra scenka mimiczna w parku.

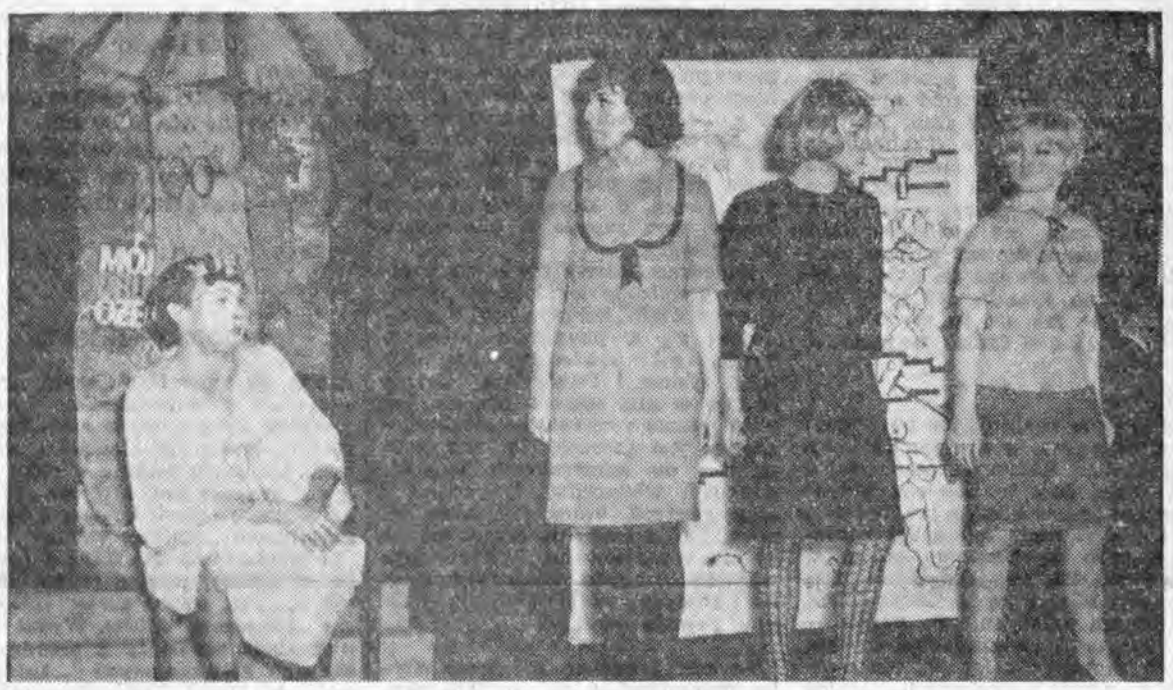

Teatr „Meluzyna" program estradowy „Rzeszowska Szopka".
Fot. J. OLMA

W sumie jednak program nieco chaotyczny i jakkolwiek miał traktować o problemie walki z chuligaństwem, zrobiony został na zasadzie worka, w którym wszystko się zmieści.

A wobec tego najbardziej obronną ręką wyszedł z przeglądu trzeci zespół z tej samej płaszczyzny; teatrzyk estradowy „Kaktusik" z Tarnobrzega. Wykonawcy nie odbiegają poziomem od dwóch poprzednich zespołów, w zaprezentowanym programie „Bartosz, Bartosz trzymaj się", to i owo trzeba jeszcze dopracować, niemniej właśnie „Kaktusik", jako drugi zespół obok „Meluzyny", pojedzie na przegląd centralny! I chyba słusznie!

Cóż więc zadecydowało o tym, że wybór padł właśnie na zespół tarnobrzeski? W tym miejscu sięgnijmy po regulamin Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. W założeniach programowych czytamy m. in.:

„Program teatru estradowego nie powinien być przypadkową składanką. Wskazane jest, by jego repertuar obejmował pozycje powiązane jedną myślą przewodnią, wspólną tematyką, tytułem programu oraz w treści swej uwzględniał problemy zakładów pracy i środowiska".

„Kaktusik" w pełni sprostał tym wymogom. Zaprezentował zręcznie zrobiony program, poruszający w swej treści sprawy miasta i kombinatu. W lekkiej, dowcipnej formie wykonawcy tarnobrzeskiego teatrzyka „załatwili" wiele problemów i problemików, które są codzienną troską środowiska.

Aby omówienie przeglądu było pełne, nie sposób nie wspomnieć i o tym, że na dębickiej estradzie widzieliśmy również Zespół Estradowy Zakładów Włókienniczych Przemysłu Terenowego z Głogowa (z programem „Urazowicze") inscenizacja, reżyseria i opracowanie plastyczne — Lubomir Ramocki, opracowanie muzyczne — Jan Wywrocki). Niestety! Poza tekstami K. I. Gałczyńskiego i zapałem do pracy, jaki cechuje członków tego sympatycznego zespołu — innymi pochwałami szermować tutaj nie sposób. Głogowianie poszli fałszywym tropem. Teksty Gałczyńskiego, wymagające doskonałego rzemiosła aktorskiego i finezji w ich podawaniu, okazały się stanowczo za trudnym tworzywem. A więc „nie ugryźli".

I chyba nie tędy droga.

W sumie — wojewódzki przegląd zespołów estradowych był potwierdzeniem, że w ruchu amatorskim naszego województwa mamy wielu zdolnych autorów tekstów, reżyserów, muzyków, choreografów i plastyków, którzy potrafią od początku do końca, bez potrzeby uciekania się do zawodowców — jak to jest w innych dyscyplinach artystycznych, opracować i zaprezentować publiczności przyjemny program estradowy! Prawdę tę ujawnia Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych, będący inspiratorem wielu wartościowych poczynań artystycznych.

JULIAN WOŹNIAK

Zdzisław Kozioł

W POSZUKIWANIU

NIEPOWODZENIE zespołów do spraw dzieci i młodzieży przy terenowych komitetach Frontu Jedności Narodu z wielu względów zasługuje na baczną uwagę. Nie wiem jednak czy najszczęśliwsze jest określenie „niepowodzenie", bo sugeruje ono braki w pracy, czy nieudane akcje, a właściwie zespoły te w wielu wypadkach w ogóle nie podjęły działalności, chociaż minęło prawie półtora roku od chwili ich powołania.

Pierwszym zadaniem miał być współudział w opracowaniu programów wyborczych komitetów FJN; chodziło o to, by w tych dokumentach uwzględniono potrzeby dzieci i młodzieży. W Rzeszowskiem zespoły powołano jednak już po wyborach do rad narodowych i Sejmu. Na zebranie organizacyjne w Wojewódzkim Komitecie FJN przybyło wielu ludzi, wśród nich dyrektorzy przedsiębiorstw i instytucji, przedstawiciele organizacji społecznych, szkolnictwa, służby zdrowia i in. Jednym z członków nowo powstałego zespołu był także niżej podpisany.

Przyjęto rozległy, lecz bliżej niesprecyzowany program: koordynować działalność różnorodnych organizacji i instytucji, które mają cokolwiek wspólnego z wychowywaniem dzieci i młodzieży. Przez blisko półtora roku członków zespołu nikt nie niepokoił, aż do października br., do czasu drugiego posiedzenia. Wyjątek stanowi zwołane w trybie nagłym zebranie komisji propagandowej, która miała przygotować sprawozdanie dla wyjeżdżającej do Warszawy przewodniczącej... Pilne zajęcia nie pozwoliły mi wziąć udziału w tym zebraniu, zresztą nie sądzę, by sprawozdania z niepodjętej działalności były wdzięcznym zadaniem dla aktywu społecznego.

Z racji obowiązków dziennikarskich szukałem efektów pracy zespołów do spraw dzieci i młodzieży przy powiatowych komitetach FJN. W powiatach, w których byłem, nie przejawiają one żywotności, bądź też nie powołano ich jeszcze. A ten rok obfitował w różnorodne akcje, w zakresie pozaszkolnej opieki nad dziećmi, m. in. w miejscu zamieszkania. Podejmowanych inicjatyw nikt nie upowszechniał, nie popularyzował...

Czy niepowodzenie zespołów do spraw dzieci i młodzieży jest wynikiem, że tak się wyrażę deficytu aktywu społecznego? Nie sądzę, chociaż szereg przesłanek za tym by przemawiało. Z wielu przyczyn na plan pierwszy wysunąłbym brak koncepcji, a co za tym idzie — metod działania w zmienionych warunkach. Mówiąc o zmienionych warunkach mam na myśli pojawienie się wielu instytucji, które bezpośrednio bądź pośrednio zajmują się wychowywaniem dzieci i młodzieży, chociażby zakłady pracy sprawujące szefostwa nad szkołami, czy spółdzielczość różnych branż.

Często z inicjatywą występują po prostu rodzice, którzy organizują place zabaw, świetlice itp. urządzenia z dużą pomysłowością i nakładem sił. Poczynania te zazwyczaj szyluje najaktywniejsza w danym środowisku organizacja, lecz nie rzadko grupa rodziców tworzy np.

Na marginesie czy w centrum?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

z przewagą muzycznych (aż siedem — sytuacja podobna do istniejącej w ZDK hutników w Krośnie). Działają tu dwa chóry — zjawisko tak rzadko niestety spotykane w amatorskim ruchu muzycznym. I znów, jak wszędzie odczyty, uniwersytet dla rodziców, spotkania z pisarzami, publicystami i naukowcami, projekcja filmów oświatowych i dokumentalnych uzyskiwanych m. in. bezpośrednio z ośrodków kulturalnych przy ambasadach Związku Radzieckiego, NRD i Węgier oraz wiele jeszcze innych form pracy. Tak przynajmniej było dotąd, gdyż tuż przed inauguracją nowego roku k.o. nastąpiła zmiana kierownika ZDK i nie bardzo wiadomo, jaką drogę działania obierze się na najbliższy sezon. Należy jednak sądzić, że doświadczone w pracy formy zostaną zachowane.

Trzeba podkreślić, że dynamicznie działa w tutejszym ZDK biblioteka licząca około 10 tysięcy tomów i 1200 czytelników (załoga Autosanu liczy około 3 800 osób). Tę dużą liczbę czytelników biblioteka uzyskała dzięki ciągłemu podniecaniu zainteresowań w środowisku przez konkursy, zgaduj zgadule literackie, wieczory dobrej książki dla młodzieży i spotkania autorskie.

Na dobro placówki trzeba zapisać, iż stara się upowszechniać plastykę — organizuje w swoich więcej niż skromnych warunkach wystawy zarówno malarstwa klasycznego, jak i współczesnego — np. wystawa dzieł Matejki, „Sanok w malarstwie", wystawa plastyków amatorów z Sanoka itd.

Jeśli pomyśli się, że to wszystko organizuje się w tych warunkach lokalowych należy podziwiać prac. ZDK, współczuć zarówno im, jak i załodze Autosanu i życzyć, by projekt rozbudowy gmachu z opracowaną już podobno dokumentacją jak najszybciej zrealizowano. To powinno być pierwszoplanową inwestycją zakładu.

• • •

Wracając do Rzeszowa próbowałem odpowiedzieć sobie raz jeszcze na pytanie postawione na wstępie. Czy oglądane ZDK pracują dobrze czy źle. Niewątpliwie w trudnych warunkach lokalowych robią co mogą, by uzyskać maksymalną dynamikę działalności. Niewątpliwie starają się o różnorodność i rozmaitość form działania — pracują wielokierunkowo, starają się o przyciągnięcie jak największej liczby ludzi. To bardzo dobrze, że otaczają opieką amatorski ruch artystyczny, dbają o aktywne uczestniczenie środowisk w tworzeniu dóbr kulturalnych, tworzą liczne i na ogół aktywne zespoły.

Natomiast budzi niepokój dobór kadry instruktorskiej we wszystkich wspomnianych domach kultury. Mimo tak licznych zespołów muzycznych i teatralnych nie ma poza doświadczonym Wiktorem Łąckim ani jednego specjalisty od spraw teatru, muzyka z wyższym lub średnim wykształceniem muzycznym czy instruktorów z pełnymi kwalifikacjami do prowadzenia działalności oświatowej. Jeśli np. w jednym z domów kultury fachowej pomocy dla zespołu recytatorskiego udzielał archeolog, jeśli zamiłowanie, dobra wola i średnie wykształcenie ogólne wystarczy, by objąć stanowisko instruktora, to obawiam się, że poziom artystyczny i oddziaływanie wychowawcze pracy w zespołach budzić mogą wiele zastrzeżeń. W dalszym ciągu istnieją w ZDK instruktorzy omnibusy — w zeszłym roku prowadził zespół teatralny, w tym muzyczny, a jak trzeba będzie to i plastyką się zajmie. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że niewiele winni są tu kierownicy placówek. Takich specjalistów instruktorów prawie nie ma w terenie, a jeśli się któryś pojawi dyktuje wymagania finansowe zbyt wysokie, by można było prosić go o współpracę. Trzeba wreszcie zadecydować o sposobie kształcenia kadr dla ruchu k. o. i systemie ich wynagradzania, by skończyć z dyletanctwem w poważnych placówkach tego typu. Istniejący stan rzeczy nie napawa optymizmem.

Wydaje mi się, że mimo wszystko większość ZDK staje się przystanią dla hobbystów, dla amatorów artystów, dla ludzi o skrystalizowanych już zainteresowaniach kulturalnych. Nie oddziaływuje się w sposób dostateczny na całe środowisko — nie stosuje się wystarczająco form masowego oddziaływania. Mam tu na myśli szerokie upowszechnianie dobrego teatru, plastyki, muzyki przez koła miłośników tych dyscyplin sztuki przy ZDK, częste urządzanie wystaw malarskich z prelekcjami, zapraszanie dobrych zespołów teatralnych z dyskusją po spektaklu, organizowanie koncertów muzyki poważnej zawodowych orkiestr i audycji umuzykalniających. Brak mi było takich form pracy, jak dyskusyjne kluby telewizyjne, jak zorganizowane formy pracy z telewizorem, jak wreszcie docieranie z działalnością rozrywkową i odczytową do okolicznych wsi, w których mieszkają pracownicy zakładów i do hal produkcyjnych i oddziałów fabryk.

Nie zawsze łatwo znaleźć na to środki finansowe, ale trzeba o nie walczyć, gdyż przed zakładowymi domami kultury stają dwie możliwości — albo zasklepić się w wąskim kręgu stałych bywalców i hobbystów i zejść na margines życia kulturalnego załóg fabrycznych, albo rozpocząć ofensywę w kierunku masowego oddziaływania i stać się centrum zainteresowań środowiska. Nie wolno dać się pochłonąć rutynie i zostać na uboczu w okresie kształtowania się nowego wielkiego programu kultury masowej zainicjowanej Kongresem Kultury Polskiej.

JAN GRYGIEL

METOD

koło TPD lub koło przyjaciół harcerstwa, by swym inicjatywom nadać ramy organizacyjne. I chociaż na pewno stan opieki pozaszkolnej jest niewspółmierny do potrzeb, to jednak nie będzie przesady w twierdzeniu, że społeczny front wychowawczy wciąż się rozszerza.

Od dawna więc wysuwa się postulat koordynacji traktowanej jako antidotum na wszelkie niedomagania. Można koordynować działalność trzech, pięciu czy dziesięciu nawet instytucji i organizacji, ale jak ten postulat urzeczywistnić, skoro w rachubę wchodzi mnóstwo partnerów? Kto ma spełniać funkcję wiodącą i w jakiej dziedzinie? A przede wszystkim, jakie są obiektywne potrzeby w zakresie opieki nad dziećmi i młodzieżą?

W wielu wypadkach zainteresowani uciekają od odpowiedzi na te pytania, pozostają w kręgu stereotypowych pojęć, nierzadko frazesów. Bywają także wypadki — sygnalizujące niepokojące zjawisko — licytowania się o zasługi, na czyje konto zapisać taką czy inną inicjatywę. Np. wystąpiono wobec mnie kiedyś z pretensjami, że nie popularyzuję pracy pewnej organizacji. Spytałem o nowe aspekty jej działalności. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że „zagospodarowano" wolny czas dzieci na jednym z osiedli fabrycznych. Miejscowość tę znałem już uprzednio, z uznaniem pisałem o grupie rodziców, którzy dla dzieci pozyskali kierownictwo przedsiębiorstwa. Nie spotkałem tam natomiast śladu działalności owej organizacji...

Sporo refleksji nasuwa się także na marginesie dwóch posiedzeń Zespołu d/s Dzieci i Młodzieży przy Wojewódzkim Komitecie FJN. Jak już wspomniałem, na pierwsze z nich przybyło wiele ludzi, sporo było mówców, którzy albo składali sprawozdanie, albo zgłaszali dobre rady dla młodzieży, oceny, jaką ona jest, a jaką być powinna. Z tego chóru wyróżniły się dwie wypowiedzi: przedstawicielki służby zdrowia rzeczowo informującej o sytuacji w zakresie ochrony zdrowia dzieci, oraz jednego z działaczy społecznych, który zirytowany deklaratywnością przemówień nie rokował Zespołowi pomyślnych wyników pracy, twierdził, że ma nawet wątpliwości, czy następne posiedzenie będzie tak liczne...

Rzeczywiście, w skład Zespołu powołano m. in. osoby, które z działalnością wychowawczą w szerokim tego słowa znaczeniu nie mają nic wspólnego lub pełnią wiele innych funkcji społecznych. Powołano ich jednak w skład Zespołu, bo liczono na materialne poparcie... Na kolejnym posiedzeniu ludzi tych nie spotkałem. Wysłuchaliśmy znowu sprawozdań. Doszliśmy zgodnie do wniosku, że tego rodzaju forma pracy nie przyniesie efektów. Pewne nadzieje rokują jednak zmiany organizacyjne w Zespole. Sprawom dzieci i młodzieży ma być poświęcone jedno z plenarnych posiedzeń WK FJN.

W programie działalności znajduje się m. in. uaktywnienie zespołów powiatowych. I tu wyłania się wstępny warunek powodzenia. W niejednym powiecie różnorodne komisje składają się w zasadzie z tych samych ludzi; po co zabawiać się w jakieś zespoły przy komitecie FJN, skoro wielu z jej członków zasiada np. w radzie przyjaciół harcerstwa, komisji oświaty rady narodowej czy podobnej komisji instancji partyjnej. Tworzenie tych zespołów według „klucza" w dużej mierze zaważyło na ich nieżywotności. Jaki przyjąć program działania, aby nie dublować pracy rady narodowej. czy którejś z organizacji?

Wysunięto więc koncepcję, by zespoły przy komitetach FJN spełniały funkcję rzeczników dzieci i młodzieży. Koncepcja ciekawa i chyba realna, lecz wymaga przezwyciężenia niejednego z dotychczasowych sposobów podejścia do problemów opieki nad dziećmi i młodzieżą. Chodzi w szczególności o znajomość potrzeb w tym zakresie, wytypowanie zadań najważniejszych, wypracowanie metod kompleksowego ich rozwiązywania. Jest to postulat bardzo szeroki, wymagający skupienia wysiłków praktyków i teoretyków. Dotychczas nie było w Polsce forum, na którym można by przedyskutować wiele zagadnień; pionierska inicjatywa FJN w pewnej mierze lukę tę może wypełnić

Fot. M. KOPEĆ

Wyobrażam sobie, że zespoły przy komitetach FJN będą wyłaniać grupy robocze dla opracowania jakiegoś konkretnego problemu, a wnioski i postulaty przedkładać zarówno zainteresowanym organizacjom czy instytucjom, jak i władzom lokalnym. Sądzę, że wiele braków wynika po prostu z nieznajomości stanu faktycznego. Tego rodzaju opinie byłyby wysoce przydatne.

Wymaga to dużej odpowiedzialności, bo przy takim podejściu do zadań łatwo popaść w demagogię, łatwo także o zniechęcenie aktywistów społecznych, jeśli ich postulaty nie doczekają się szybkiej realizacji. Weźmy chociażby zagadnienie opieki zdrowotnej. Nie wnikając w szczegóły, w Rzeszowskiem w sposób nowatorski rozwiązano sporo spraw z zakresu profilaktyki. Zainteresowanie się nimi zrodziło wiele nowych problemów; okazuje się np., że część dzieci wymaga sanatoryjnego leczenia, a możliwości są więcej niż ograniczone. Potrzeb w tym zakresie nie zaspokoi ani komitet FJN, ani władze lokalne, ale o tym trzeba mówić, szukać możliwości realizacji słusznych postulatów.

Inny przykład. Zagadnieniami społecznego nieprzystosowania dzieci i młodzieży, zwłaszcza krańcową jego formą — przestępczością, zajmuje się wielu zawodowców i społeczników, lecz ich wysiłki są rozdrobnione, nieskoordynowane. Praktycy twierdzą np., że niewielka skuteczność aktywnej nieraz działalności jest następstwem nieznajomości przyczyn rodzących to zjawisko. Zgłaszają pretensje do nauki, która nie podejmuje kompleksowych badań z punktu widzenia pedagogicznego, psychologicznego, psychiatrycznego i socjologicznego. Bywają np. zwolennicy metod represyjnych, a przecież zawiodą one wówczas, gdy nieprzystosowanie społeczne ma swoje źródło w chorobie dziecka lub rodziców. Wysuwane są więc propozycje stworzenia jednolitego systemu placówek konsultacyjnych, sieci poradni specjalistycznych o charakterze wychowawczo - leczniczym, a także zakładów leczniczo-wychowawczych oraz leczniczo-poprawczych.

Skoro wspominam o nauce, pretensjach, jakie mają do ośrodków naukowych samotni nieraz praktycy, trzeba uwzględnić i inną okoliczność. Jakże często wprawdzie fragmentaryczne, lecz istotne problemy zbadane przez uczonych nie docierają do szerszego ogółu, bo opublikowane zostały w czasopismach o niewielkim nakładzie. Praktyka sobie, nauka sobie. Wydaje mi się, że grupy robocze opracowujące dla instancji FJN jakiś problem, winny podbudowywać swoje oceny i propozycje wynikami badań naukowych, zgłaszać także pewne postulaty dla poszczególnych dyscyplin naukowych.

Innym tematem do analitycznego zbadania jest zagadnienie modnej od kilku lat pedagogizacji rodziców. Wokół tego problemu narosło sporo nieporozumień, a przynajmniej metody działania są zbyt mało zróżnicowane; najczęściej prelekcja do ogółu rodziców przy okazji „wywiadówek". Zasięgiem oddziaływania nie objęto np. środowisk o ograniczonych predyspozycjach wychowawczych.

Nie wspominam o placach zabaw, świetlicach dla dzieci itp., bo to sprawy jak najbardziej oczywiste. Jeśli można je zorganizować w jednym mieście czy osiedlu, dlaczego nie można w pozostałych.

Wymieniłem kilka zagadnień tytułem przykładu; rozpracowanie konkretnych problemów, w pewnym sensie węzłowych będzie punktem wyjścia do dalszej działalności, nasunie niejako metody prowadzące do osiągnięcia zamierzonych celów. Ale warunkiem powodzenia jest w pierwszym rzędzie skupienie w zespołach do spraw dzieci i młodzieży ludzi znających tę problematykę i gotowych społecznie pracować. A takich jest wielu, często anonimowych przyjaciół dzieci. Sprawą ośrodków dyspozycyjnych, w tym wypadku komitetów FJN, jest ich zorganizowanie.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Zbigniew Dydek

„Ja, książę Lubomirski zakazuję oświaty!"

W przebogatym materiale, jaki stanowią rzeszowskie akta sądu wójtowsko-ławniczego na przestrzeni XVII i XVIII wieku, oprócz protokołów rozpraw sądowych karnych i cywilnych, oprócz zarejestrowanych transakcji, kontraktów kupna — sprzedaży, czy pożyczek, jak również protokołów z przebiegu wyborów władz, urzędów i sądów miejskich — spotkać można pewną dość pokaźną grupę zapisów stanowiących tzw. „OBLATY".

Ówczesna praktyka prawna nakazywała wpisy dosłownego brzmienia dokumentów publicznych, a więc statutów i przywilejów, jak również dokumentów prywatnych — w księgi sądowe. Czynność wciągania tychże aktów do ksiąg sądowych zwano „oblatowaniem", a sam wpis — „oblatą".

Wśród tego rodzaju dokumentów charakterystyczne źródło, pozwalające na ocenę ingerencji ówczesnej władzy dominalnej — pana zamku — w sprawy gospodarcze, społeczne, porządkowe miasta prywatnego, jakim był Rzeszów — stanowią oblaty uniwersałów, przywilejów, dekretów, instruktaży czy poleceń zamkowych książąt Lubomirskich. Wachlarz zagadnień tym sposobem regulowanych jest pokaźny. Wpisy dotyczą zarówno zakazów (np. zakaz sprzedaży domów i placów Żydom, zakaz oddalania się z miasta bez zezwolenia na odległość dalszą niż trzy mile ze względu na panującą epidemię), nakazów (np. nakaz budowy mostu biegnącego od zamku rzeszowskiego ku klasztorowi OO. pijarów, nakaz powrotu właścicieli do swych budynków ze Starego na Nowe Miasto), jak też zezwoleń (np. zezwolenie na pobieranie arendy).

Jeden z dokumentów zamkowych oblatowany w formie uniwersału postaramy się niżej przedstawić*). Dotyczy on stosunku do nauki i oświaty w ogóle, a kwestii pobierania nauk przez synów chłopów i mieszczan rzeszowskich w szczególności.

Początek uniwersału stanowi stereotypowy, powtarzany w każdym dokumencie dominalnym wstęp przedstawiający autora — Jerzego Ignacego Lubomirskiego (zm. 1753 r.) ze wszystkimi jego tytułami. Jako księcia „świętego państwa rzymskiego", hrabiego na Wiśniczu i Jarosławiu, generała kawalerii wojsk saskich, kawalera orderów Orła Białego i św. Henryka, pułkownika i komendanta koronnej gwardii konnej, wreszcie jako starostę ryczywolskiego i libuskiego, a równocześnie dziedzicznego i jedynego pana na Rzeszowie, Bolechowie, Rozwadowie itd. Po tej, jakże dumnej, a kunsztownej tytulaturze wymienieni są adresaci uniwersału. A więc: komisarz generalny dóbr książęcych, jurysdykcja dworska, władze miasta Rzeszowa, miasteczek, wsi państwa rzeszowskiego

W treści zasadniczej następuje stwierdzenie, iż nie tylko w mieście Rzeszowie, ale i w innych miasteczkach i wsiach poddani „wzięli sobie za zwyczaj" bez pańskiego pozwolenia wysyłać swych synów na naukę do szkół. Zwłaszcza wieśniacy nauczywszy się czytać i pisać, „a dopieroż łaciny" — wychodzą z poddaństwa, uwalniają się z „przyrodzonej sobie pracy", odmieniają „przezwiska chłopskie w szlacheckie", udają się w obce latyfundia. Są tam przyjmowani na administracje„ podstarostwa, pisarstwa prowentowe, inspektorie. Obejmują funkcje prawnicze, czy chowając się pod płaszczykiem sukni duchownych zapominają o swojej „kondycji". Tym samym podszywszy się pod klejnot szlachecki, często „szlachtę rodowitą z fortun na utuczenie siebie samych wyzuwają". Najgorsi są ci, którzy w jurystowskich, a więc prawniczych „ćwiczą się wykretach". Wówczas bowiem nie tylko szlacheckim potomkom

(Ciąg dalszy na str. 6)

Sanockie sympozjum

NIE BĘDZIE żadną przesadą powiedzieć o tej imprezie, że odbyła się w Polsce po raz pierwszy, że została zorganizowana z całą starannością, że przyniosła niezaprzeczone korzyści pracownikom muzeów Rzeszowszczyzny, że podjęła temat ważki dla historyków sztuki i otwierający przed nimi na przyszłość nieograniczone pole do badań naukowych. Mowa oczywiście o sympozjum poświęconym ikonom, które zorganizowało Muzeum Historyczne w Sanoku, posiadające w swoich zbiorach ponad 400 cennych ikon, najstarszych w Polsce (od unikalnej XIV-wiecznej po XVII-wieczne).

Prof. dr Lech Kalinowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego zainaugurował to spotkanie wykładem na temat bizantyjskiego malarstwa ikonowego, podkreślając potrójne jego znaczenie: a więc przede wszystkim ikony — jako dzieła sztuki, jako przedmiotu kultu i jako zjawiska kulturowego. Jest rzeczą oczywistą, że właśnie dziś malarstwo to posiada wartość przede wszystkim jako dzieło sztuki, a następnie jako świadectwo kultury, która je zrodziła; traci natomiast najwyraźniej dawne znaczenie kultowe.

Przy coraz powszechniejszym zainteresowaniu, jakie budzi w środowisku naukowców oraz historyków sztuki drewniane malarstwo ikonowe, wywodzące się z Bizancjum i stanowiące do dziś domenę mało opracowaną, dopuszcza się jeszcze pomyłki interpretacyjne, liczy na przypadkowe odkrycia, jak choćby owo z 1938 roku, którego dokonała ekspedycja amerykańskich uczonych ze stanu New Jersey na Górze Synai, odnajdując w tamtejszym klasztorze około 150 iokn znakomicie zachowanych i dających świadectwo kultury bizantyjskiej w wiekach od VI—XV.

Dobrze się stało, że właśnie sanockie muzeum wyszło z inicjatywą poświęcenia ikonom 2-dniowego sympozjum, bo znajdują się w nim eksponaty o wielkiej wartości artystycznej, gromadzone od początku jego istnienia, tzn. od roku 1934. Bo właśnie ono wysłało do Recklingshausen, gdzie odbyła się w miesiącach wakacyjnych wielka ekspozycja zbiorów polskich, aż 9 eksponatów, z których jeden zdobi nawet okładkę pięknego katalogu.

Mgr Janina Kłosińska z Muzeum Narodowego w Krakowie, omawiając znaczenie wystawy w Recklingshausen (notabene jedynym do tej pory muzeum malarstwa ikonowego w Europie zachodniej) podkreśliła wielkie zainteresowanie, jakie wywołały polskie zbiory za granicą, pertraktacje z zagranicznymi wystawcami w sprawie przyszłych ekspozycji oraz mówiąc o sanockich ikonach, wyraziła pogląd, iż są one najbardziej klasyczne, wyraźnie bizantynizujące, dając świadectwo styku dwóch kultur — bizantyjskiej i łacińskiej.

Oczywiście, że naczelnym problemem nurtującym muzea posiadające w swych zbiorach malarstwo ikonowe jest sprawa jego zabezpieczenia oraz konserwacji. Ta ostatnia jest na pewno procesem długotrwałym i kosztownym; natomiast samo zabezpieczenie traktowane jako wstęp do właściwej konserwacji, jako swego rodzaju profilaktyka przed dalszym niszczeniem w muzeum sanockim nie przedstawia się imponująco i wymaga jak najszybszej ingerencji tamtejszej pracowni konserwatorskiej. Unikalne zbiory nie mogą niszczeć; sam zaś procent eksponatów zawieszonych w salach muzeum w porównaniu ze zbiorami ciasnego magazynu jest niepokojący (44 ikony w stałej ekspozycji, około 400 w magazynie).

Uczestnicy sympozjum zgodnie podkreślali wartość artystyczną i kulturową sanockiego zbioru; obrady ich pozwoliły przy tym na wyjaśnienie wielu spornych poglądów na ten rodzaj sztuki.

Znakomitym akcentem dopełniającym naukową imprezę był wieczór autorski Jerzego Harasymowicza — poety, którego urzekło malarstwo ikonowe i który poświęcił rzeszowskim zabytkom gros swego zainteresowania.

K. S.

XV — WIECZNA IKONA

Aleksander Błachowski

Oranie kultury

HISTORIA SKRZYNI A DZIEŃ DZISIEJSZY

W maju br. zwiedzając z młodzieżą wiejską ruiny klasztoru w Zagorzu usłyszałem zdanie jednej z dziewcząt:

— Dlaczego nie rozbiorą tych gruzów?

To nie była głupia dziewczyna. Ubrana po miejsku, umiejąca obsługiwać telewizor i magnetofon, należy do młodzieży, która coraz lepiej czuje się w XX wieku. Że dzień dzisiejszy jest kontynuacją wczorajszego — cóż ją to obchodzi? To już historia, nudna historia.

Ta sama dziewczyna historią nazywa również reformę rolną, która dała jej ojcu ziemię. Poznawała wtedy świat z elementarza. Czy można ją obciążać zarzutem braku wrażliwości? Nie! Z wielkim przejęciem domaga się pomocy dla Wietnamu, ma pretensje do całego świata o to, że deklaracje o pokoju są parawanem dla agresji i szaleństwa zbrojeń termojądrowych. Ona żyje tak intensywnie dniem dzisiejszym, że nie ma czasu i chęci samodzielnie szukać historycznych przesłanek roku 1966. Ilość wydarzeń, rewelacyjność zmian we wszystkich dziedzinach bombarduje codziennie jej umysł i stwarza chaos wewnętrzny, wobec którego jest bezradna. Niewiele pomaga jej słuchanie radia i oglądanie telewizji. Lawina słów, których celem jest nauka jednoznacznej interpretacji, nie dociera do niej. Dla niej istnieją tylko fakty i to fakty, które dzieją się dzisiaj.

Z racji swej pracy w środowisku młodzieży wiejskiej mogę twierdzić, że taka postawa jest raczej typowa. Umyślnie zarysowałem ją ostro, bez ogródek i niuansów. Wydaje się, że po milenijnym świętowaniu trzeba zabrać się do powszedniej, żmudnej, nieefektownej pracy na co dzień. Jednym z cennych pomysłów zrodzonych w okresie jubileuszowego ożywienia było hasło organizowania wiejskich izb pamiątek. Tą sprawą chciałbym się bliżej zająć.

Tu Czytelnik pomyśli: wytoczył wielkie działo, a teraz chce strzelać do takiego drobiazgu. Nie szkoda amunicji? Nie. To, co wydaje się w Warszawie zupełnie małe, w Rzeszowie jest większe, w mieście powiatowym już jest duże, a na wsi pierwszej wielkości. Ja patrzę od dołu, więc i kaliber muszę użyć proporcjonalny do celu.

PO CO IZBY

„Wytaczając działo" chciałem przypomnieć to, o czym stale zapominamy goniąc za błyskotkami modnej „kultury masowej", w ciągłym strachu przed pozostaniem w tyle za Europą. To nasze „nadążanie za duchem czasu", ta obawa przed marginesową pozycją na aktualnej giełdzie ekstrawagancji kulturowej powoduje, że przeszłości oddajemy haracz rocznicowych uroczystości, a brak nam stosunku do tej przeszłości na co dzień. Oczywiście najgorzej pod tym względem jest tam, gdzie nie ma ani konsekwentnej, ani ciągłej pracy kulturalno-oświatowej, to znaczy na wsi.

Dziś, w dobie postępu technicznego, rozwoju środków masowego przekazu, w dobie realizacji najśmielszych ludzkich marzeń, w cień oddalają się i giną relikty dawnego życia. Wyparte przez przemysł znikają wyroby ludowego rękodzieła, rzadkością są już dawne stroje, wnętrza domów wiejskich upodabniają się do miejskich, adapter i magnetofon zastępuje ludową kapelę, coraz rzadziej można ujrzeć stare zwyczaje i obrzędy.

W skrzyniach ukrytych w komorach, w zakamarkach zagród leżą bezcenne skarby, trzeba je umieć dostrzec, ocenić, oczyścić z kurzu zapomnienia i ukazać dla nauki młodzieży i dla przerzucenia pomostu pomiędzy dawnymi i naszymi laty.

Jeśli wieś nauczy się cenić swoje tradycje, jeśli nie będą one jak to jeszcze dotąd jest, uważane za oznaki zacofania — wtedy będzie można mówić o harmonijnym rozwoju naszej kultury.

Na wsi ważnym ośrodkiem wiedzy o dziejach i tradycjach może być i z b a p a m i ą t e k. Celem jej jest nie tylko zgromadzenie i zabezpieczenie reliktów przeszłości. Powinna służyć jako gabinet historyczny dla szkoły, jako kronika obecnego życia, jako widomy znak postępu i rozwoju. Izba zorganizowana wyłącznie w oparciu o lokalne materiały będzie oddziaływać w sposób najbardziej przekonywający, bo bez propagandowej otoczki, wyłącznie bezsporną wymową faktów. Rodzime relikty folkloru, kultury materialnej i ludowej twórczości artystycznej, podniesione do rangi eksponatu, właściwie objaśnione i wykorzystane w pracy kulturalno-oświatowej najlepiej będą uczyć stosunku do własnej kultury, bez poczucia niższości wobec kultury elitarnej i drobnomieszczańskich wzorów.

Izby powinny być placówkami żywymi, ich zadaniem bowiem jest nie zamykanie w gablotach i naukowe systematyzowanie eksponatów, lecz działanie wychowawcze, kulturotwórcze na co dzień.

NIE ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ CZYLI JAK TO ZROBIĆ

Chcąc zorganizować izbę pamiątek wystarczy niewielki lokal, nawet 4x5 metrów, trochę niesłomianego zapału, pomoc młodzieży szkolnej i ZMW, trochę desek, farby, płótna i szkła, tydzień pracy, no i przede wszystkim zrozumienie dla sprawy wśród mieszkańców wsi. Dobrze jest również obejrzeć zorganizowaną już gdzieś izbę oraz poradzić się w najbliższym muzeum. Najmniej kłopotów będzie z eksponatami.

Kto jest powołany do organizacji izby? Przede wszystkim ten, kto interesuje się historią swojej wsi lub pracuje w dziedzinie kultury. A więc nauczyciel, bibliotekarz, artysta ludowy, gospodarz klubu, działacz ludowy, koło ZMW.

Jak zorganizować izbę? Zainteresować ideą wszystkie miejscowe organizacje i aktyw z gromadzką radą narodową na czele. Poprosić o pomoc Wydział Kultury Prez. PRN i muzeum (jeśli jest na terenie powiatu). Zwołać zebranie aktywu wsi i ustalić podział zadań. Rozpropagować ideę izby wśród wszystkich mieszkańców tak, by przygotowali eksponaty. Zorganizować zbiórkę eksponatów w ściśle oznaczonym terminie przy pomocy młodzieży szkolnej i koła ZMW. Pamiętać przy tym należy, że każdy przedmiot powinien mieć kartkę z informacją: nazwisko i imię ofiarodawcy, przypuszczalna data wykonania, do czego służył i kto go wykonał. Opracować projekt ekspozycji. Zdobyć materiał na stelaż. Oczyścić eksponaty i wyselekcjonować w grupy. Urządzić ekspozycję i... dokonać uroczystego otwarcia izby.

Co zbierać? Wymienię tylko podstawowe grupy. Należy przy tym zaznaczyć, że zależnie od warunków lokalnych pewne grupy mogą być szczególnie bogate, pewne zaś wcale mogą nie wystąpić. Izba ma być odbiciem wsi dawnej i dzisiejszej, powinna więc zgromadzić wyłącznie przedmioty miejscowe.

Grupa I. Przedmioty związane z pracą i warunkami bytowania (np. stare narzędzia rolnicze, przedmioty związane z hodowlą, sadownictwem, pszczelarstwem, rybołówstwem, myślistwem, narzędzia i wyroby stolarskie, kowalskie, ciesielskie, bednarskie, kołodziejskie, garncarskie, urządzenia izb mieszkalnych i kuchni, przedmioty służące do sporządzania i spożywania posiłków, narzędzia do obróbki lnu, konopi, wełny, narzędzia i wyroby tkackie, plecionkarskie itp).

Grupa II. Ubiory ludowe (zarówno części, jak i fragmenty ubiorów codziennych, odświętnych, ślubnych, dziecięcych i osób dorosłych, również fotografie osób w dawnych strojach).

Grupa III. Dokumenty (np. stare testamenty, książki podatkowe, paszporty, wezwania urzędowe, dokumenty wojskowe, odznaczenia, medale, dyplomy, ogłoszenia, afisze, ulotki, gazety, wycinki prasowe, fotografie z różnych uroczystości czy wydarzeń dotyczących wsi, pieczęcie i pamiątki dawnych gospodarczych i społecznych organizacji, dokumenty związane z okresami rozbiorów, międzywojennym, okupacji hitlerowskiej, związane z działalnością polityczną i walką partyzancką, fotokopie aktów reformy rolnej, materiały umożliwiające zestawienie obrazu wsi dawnej i dziś, kalendarze elektryfikacji i ewentualnie gazyfikacji wsi, budowy nowych obiektów publicznych, melioracji, mechanizacji — np. kiedy pierwszy traktor pojawił się we wsi, pamiętniki, kroniki, stare książki, przedmioty związane z nauczaniem — np. stare tabliczki, rysiki, dawne banknoty, monety itp.).

Grupa IV. Wyroby sztuki ludowej dawne i dzisiejsze (np. rzeźby, obrazy, ceramika, hafty, koronki, ozdoby mieszkań, sztuczne kwiaty, pająki, światy, malowidła, wyroby snycerskie, pisanki, pieczywo i rózgi weselne, stopki kukiełkowe, maski noworoczne, dawne instrumenty muzyczne itp.).

Skoro już zorganizowaliśmy izbę pamiątek, pozostaje tylko nie zostawiać jej w stagnacji i zapomnieniu. Poprzez oddanie jej pod opiekę najbliższej instytucji kulturalnej (najlepiej muzeum lub domu kultury) zapewnić możemy systematyczne prelekcje (nie tylko na tematy historyczne), spotkania z wybitnymi ludźmi związanymi z naszym terenem, z działaczami kultury, twórcami, działaczami gospodarczymi, politycznymi itd. Dalsza praca izby powinna być związana z programem miejscowego klubu rolnika lub „Ruch", biblioteki, koła ZMW, a przede wszystkim szkoły. Zresztą sądzę, że tym, którzy zorganizują izbę pamiątek starczy własnej inwencji, by spełniła ona zadania, którym poświęciłem tę garść uwag.

Na zakończenie pragnę powiedzieć wątpiącym w możliwość stosunkowo łatwej organizacji izby pamiątek, że napisałem ten artykuł nie na podstawie fantazji lecz własnej praktyki.

Ryszard Bilski

OŚMIU ŚMIAŁYCH

POWITANIE PO 15 MIESIĄCACH

Serdecznie i gorąco powitał w ostatnią niedzielę października Szczecin i nie tylko Szczecin — cała Polska obserwowała ten moment na ekranach telewizorów — powracający z wyprawy geograficznej jacht „Śmiały". Na Wałach Chrobrego zgromadziło się wielu entuzjastów żeglarstwa, rodziny członków załogi, przedstawiciele Polskiego Towarzystwa Geograficznego (organizator wyprawy). Przez kilkadziesiąt minut dwie kamery telewizyjne na przemian wychwytywały i przekazywały w świat co ciekawsze momenty. A tych nie brakowało. Nadawana na żywo transmisja nie uchroniła się także od przykrych niespodzianek. Napór witających był chwilami tak duży, że z trudem „tele" i inne obiektywy mogły znaleźć załogę „Śmiałego". Najserdeczniej witano geologa Ludomira Mączkę szczecińskiego rodaka. Prywatny komitet zgotował mu niebywałe przyjęcie. Nie zapomniano nawet o transparentach w rodzaju — „Całujemy rączki Ludomira Mączki!".

Jacht „Śmiały" dotarł do Szczecina jeszcze przed niedzielą. W ukryciu — jak niektórzy mówili — uczestnicy wyprawy czekali na zaplanowane w... telewizji powitanie, podporządkowując się... scenariuszowi, jaki w związku z tym opracowano. Ten drobny retusz, który popsuł nieco autentyczność powitania miał jednak przecież ważną misję do spełnienia. A jaką, to już wiemy.

W SALACH ZAMKU KSIĄŻĄT POMORSKICH...

...nastrój odświętny, niecodzienny. Do zapowiedzianego spotkania z uczestnikami wyprawy „Śmiałym" pozostało jeszcze kilkanaście minut. Czas dłuży mi się jak zwykle w podobnych okazjach. Zwiedzam więc wystawę fotograficzną — „Morze w oczach dziennikarza". Długie minuty upływają teraz szybciej. Kilkaset fotogramów na jeden temat, a jakże różnych i ciekawych. Zdjęcia opatrzone tylko nazwiskiem i imieniem autora (niczym więcej) są dla każdego, nawet laika, zrozumiałe. Któż bowiem inny, jak nie dziennikarz zwraca w swej pracy uwagę na komunikatywność. Właśnie, ta komunikatywność, chwytanie życia na gorąco, bez retuszu i reżyserii stanowi o wartości prac. Wiele z tych fotogramów wykonano, śmiem przypuszczać, nie z myślą o planowanej wystawie, lecz o codziennej, zdjęciowej informacji prasowej. Wybrano oczywiście najlepsze. „Morze oczami dziennikarza" to nie tylko efektowne zdjęcia przedstawiające zmagania statków ze sztormowymi falami, ale także uwiecznione niepowtarzalne momenty: wodowanie jednostek, nominacji w szkołach morskich. Są także i „ciepłe" sceny podpatrzone na plaży. Jednym słowem: morze, ludzie morza i my nad morzem.

* * *

Mikrofony radiowe, reporterskie magnetofony, aparaty fotograficzne — wszystko w pogotowiu. Jestem teraz w niewielkiej sali projekcyjnej. Ani jednego wolnego miejsca. Szerokie fotele, wyjątkowo szerokie i bardzo wygodne, mieszczą nawet i po dwie osoby. Na spotkanie z załogą „Śmiałego" zjechali dziennikarze z całego kraju. Są reprezentowane również i miesięczniki przeznaczone dla zagranicy. Fotoreporter, bodajże „Polski", obwieszony co najmniej sześcioma aparatami fotograficznymi. Na salę wchodzi kierownik naukowy wyprawy doc. dr **Tadeusz Wilgat**, geograf, kierownik Katedry Hydrografii UMCS. W chwilę później dołącza mgr **Bronisław Siadek**, również geograf, redaktor „Poznaj Świat".

— *Moje zainteresowania hydrograficzne dotyczą również Ameryki Południowej, głównie Chile — mówi T. Wilgat. Toteż kiedy Bronisław Siadek i Bolesław Kowalski (ekonomista, morski kapitan jachtowy) zgłosili się z propozycją tej śmiałej wyprawy — poparłem ją. Organizacji wyprawy podjęło się Polskie Towarzystwo Geograficzne, które poniosło też główny ciężar finansowy. Wydatnej pomocy udzielił Polski Związek Żeglarski, Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki oraz Prez. WRN w Lublinie.*

Nie wszystko szło jednak jak z przysłowiowego płatka. Dziś mało który z członków wyprawy wspomina tamte ciężkie chwile, niekończące się przygotowania i piętrzące się przeszkody. Jednak upór i żelazna konsekwencja zwyciężyły.

31 LIPCA 1965 ROKU...

A więc w dwa miesiące później niż planowano, jacht „Śmiały" (stanowiący własność Wojewódzkiego Ośrodka Sportu, Turystyki i Wypoczynku w Szczecinie) odpłynął ze Szczecina. Odpłynął stawiając kropkę nad „i". Do ostatniej bowiem chwili nie było pewności, czy wyprawa wreszcie wyruszy. Wciąż przesuwano terminy ukończenia budowy zamówionego w Anglii silnika (był później powodem wielu kłopotów). Pierwszy raz zepsuł się zaraz po wyjściu na pełne morze. Naprawa gwarancyjna w Anglii nie trwała długo, ale następnego dnia po remoncie silnik znów odmówił posłuszeństwa. Inżynier Jerzy Knabe (mechanik, jachtowy sternik morski) miał więc pełne ręce roboty. Z Anglii powrócił do kraju jeden z członków załogi — dr Kluge. Wprawdzie rejs próbny zniósł doskonale, nie wytrzymał jednak trudów jachtowej podróży.

Trasa „Śmiałego" prowadziła przez Christianso, Skały św. Pawła (załoga s/y „Śmiałego" odwiedziła je jako druga od roku 1837), Rio de Janeiro, Santos, Montevideo, Buenos Aires, Mar del Plata, Deseado, Cieśninę Magellana, kanały patagońskie, Puerto Montt, Valparaiso, Kanał Panamski, Wyspy Bahama i Ostendę. W sumie, trasa wyniosła ponad 20 tys. mil morskich.

Z Brazylii powrócił do kraju, ze względu na chorobę serca, drugi z członków wyprawy — lekarz pełniący na jachcie funkcję pierwszego oficera dr **Tomasz Romer**. W tej sytuacji zaczęto czynić starania, by zasilić kurczącą się załogę „Śmiałego". W Buenos Aires na pokład wszedł geolog, morski kapitan jachtowy — mgr **Ludomir Mączka**. W Buenos Aires przeprowadzono generalny remont „Śmiałego".

Wyprawa o dwa miesiące spóźniona miała niełatwe zadanie. Przegonić kalendarz. Opracowany wcześniej plan przewidywał np., że w podróż do Cieśniny Magellana jacht wyruszy w grudniu, kiedy panuje tam lepsza pogoda. Lecz „Śmiały" pokonywał tę trasę w lutym i w marcu przy bardzo silnych wiatrach i prądach. Płynęli tylko w dzień. Podróż przy takiej pogodzie w nocy byłaby już wyjątkowo niebezpieczna. Zresztą i to co dokonała dzielna załoga, stanowiło nie lada wyczyn. Prawdopodobnie ku zachodowi, przeciwko wiatrom, jeszcze żaden jacht nie przeszedł cieśniny. Dalej trasa wiodła przez kanały patagońskie... Bardzo urocze, lecz podróż była raczej przykra. Z powodu zaniedbania portowców, którzy nie zmienili oznaczeń przesuwających się mielizn — jacht osiadł na jednej z nich. Próbowano nawet wykonać pod jachtem przekop za pomocą specjalnie skonstruowanej systemem gospodarczym łopaty. „Śmiały" stał na mieliźnie 70 godzin.

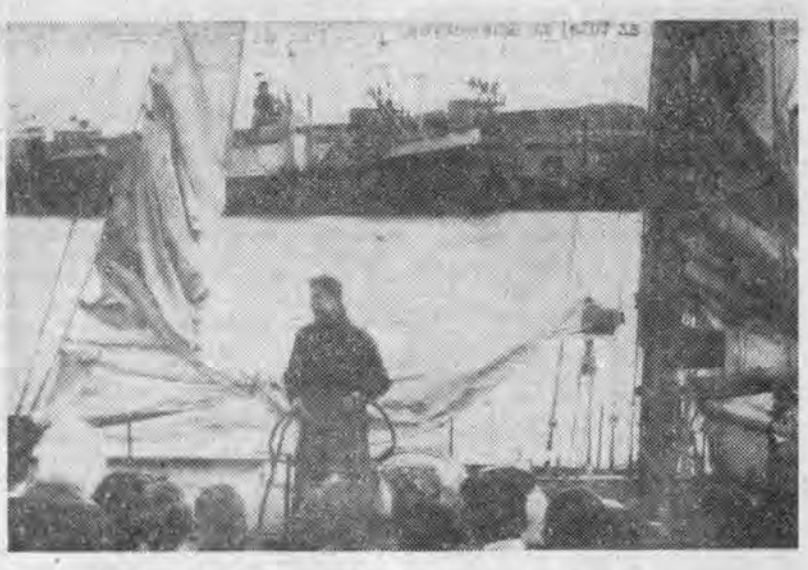

Jacht „Śmiały" przybija do przystani w Szczecinie.

W Puerto Montt dołączył do wyprawy jej kierownik naukowy T. Wilgat. Następny odcinek drogi prowadził do Valparaiso, gdzie w rejonie Santiago załoga „Śmiałego" przebywała 2 miesiące. Miejscowe władze zaopatrzyły badaczy w mapy i inne pomoce. Niektóre mapy były stare i mało przydatne. Z kłopotów ratowały zdjęcia lotnicze. Nie mniej trudne były teraz wyprawy po lądzie. Trasę pokonywano na mułach, z których wszyscy, bez względu na... stopień naukowy — spadali. A przewodnik ciągle ponaglał, szybciej i szybciej.

— *Pamiętam — wspomina T. Wilgat, podróżowaliśmy ciemną nocą. Nagle muł przewodnika zatrzymał się i mimo ponagleń z jego strony, nie chciał iść. Przewodnik sprawdził więc drogę i skierował muła w lewo. Zwierzę ruszyło ochoczo. Jego instynkt uchronił nas przed błądzeniem.*

Ale muły są także i... złośliwe. Np. Krzyś Wojciechowski (geograf, adiunkt Katedry Hydrografii UMCS) nie mógł nakłonić swego „rumaka", by szedł szybciej. Przewodnik czynił mu z tego powodu często przykre uwagi. Zamieniano więc muły. Krzyś dostał rącze i szybkie zwierzę przewodnika, które o dziwo, skoro dosiadł je nowy pan, momentalnie zwolniło i wlokło się odtąd na końcu „peletonu".

Wyścig z kalendarzem i zimą trwał nieprzerwanie. Brał w tym udział także terenowy jeep, wypożyczony przez mieszkającego tam Polaka Norberta Woszczepińskiego. Udało się. Na drugi dzień po zakończeniu badań spadł śnieg. Po kilku dniach góry były niedostępne.

W Peru, badacze spędzili 8 dni. Zajmowali się etnografią tych obszarów. Docent T. Wilgat wspomina o wielu osobliwościach kraju.

— *Spotkałem na przykład — mówi — rzecz u nas nieznaną. Stragan z lekarstwami. Wśród przeróżnych szpilek, kawałków rudy, suszonej małpki, była mała buteleczka po penicylinie, a w niej, jak zapewniał sprzedawca — lekarstwo „na wzajemność".*

Skoro zahaczyliśmy o tematy medyczne... Krzyś Wojciechowski odkrył w Peru lekarza (rodem z Boliwii), który był właśnie na objeździe. Ów lekarz w stroju roboczym wyglądał niesamowicie. Miał na sobie nawieszanych wiele „różności". Najdziwniejsze było to, że z chwilą rozpoczynania praktyki rozpuszczał ukryte pod kapeluszem długie włosy. Bez tych wszystkich nieprzeciętnych atrybutów — jak mówił — nie mógłby leczyć.

1 września 1966 roku, w dniu imienin redaktora — Bronisława Siadka jacht „Śmiały" wyszedł na Atlantyk. Zaczęła się wielka przygoda...

P. S.

Powyższe opracowanie sporządziłem na podstawie materiałów zebranych podczas konferencji prasowej z załogą „Śmiałego.

RYSZARD BILSKI
(zdjęcie autora)

Znacie ulicę Zieloną. Taką małą, najmniejszą w naszym mieście. Można ją dotknąć we wszystkich kierunkach rękami wyciągniętymi przed siebie. No, naturalnie od rogu ulicy Bladej do drugiego rogu przy alei, przy alei... zaraz, zaraz — jak ta aleja się nazywała? Zdumiewające. Wszystkie ulice, place i skwerki w naszym mieście mają swoje nazwy, a ta alejka nie ma.

Pełno na niej drzew. Stoją wzdłuż i wszerz, aleja zakręca i znowu zawraca jak rzeka, jak nurt. Bardzo romantyczna aleja, ale bez nazwy. No więc, ulica Zielona, bardzo mała ulica, najmniejsza w naszym mieście, od rogu Bladej do tej romantycznej, bez nazwy — ma 27 kroków wzdłuż.

Wiem bardzo dobrze, bo kiedyś, kiedy zegar na ratuszu wydzwonił wieczór i czarny ratuszowy kogut rozpostarł skrzydła nad dachami kamieniczek — wstąpiłem w ulicę Zieloną.

Stanąłem, zapatrzyłem się w małe okienko na pierwszym piętrze — kamieniczki stojącej po lewej ręce. Okienko świeciło różowym światłem firaneczek obrębionych koronkami i wstążeczkami.

Stałem i patrzyłem w to jasne okienko, w przesuwający się za szybą cień. Ulica Zielona coś mówiła cichym szmerem. Ale jeszcze nie wiedziałem, co mówi i do kogo. Wiecie, każda ulica mówi. Moja na przykład opowiada o skrzypiących wozach, które jadą na targ, o chłopach milczących rano, a rozwrzeszczanych z południa. Wiadomo, dwie knajpy niedaleko rynku ciągną ku sobie ciżbę jarmarczną jak otchłań, jak cotygodniowe oratoria — misteria, gdzie przy ołtarzach — stolikach, każdy chłop staje się kapłanem i zrazu cicho, potem coraz głośniej i bełkotliwie odprawia mszę za duszę własną, za dobry utarg, pieskiego sąsiada, córkę ladaco — latawicę.

Tak więc i ulica Zielona szeptała o czymś, ale jeszcze nie wiedziałem o czym. Dopiero dzisiaj przed południem zawędrowałem aż tutaj za dziewczyną. Właśnie mój mistrz... No tak. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie znacie ani mnie, ani mojego mistrza, ani nawet kulawego Franka, który każdemu klientowi goli baczki na ukos, a włosy na szyi podcina w dziwaczne półkole. Bo Franek nienawidzi linii prostych. Mówi, że każda prosta jest złudzeniem. Nie ma — tak mówi — prostych linii, prostych spraw, prostych przeżyć. Nie ma — tak mówi — prostych prawd. I tylko kłamstwa, tak mówi — kłamstwa są najprostsze — tak mówi.

Mój mistrz śmieje się z Franka. Gęba mu wtedy nadyma się trzema fałdami na każdym policzku, czerwienieje czoło wielkie i dziobate. Trzyma łopaty rąk na wielkim swoim brzuchu, który się trzęsie w międzytaktach śmiechu i rechoce.

— Jedna cie dziewka rzuciła, jeden ci facet sprał mordę, jeden raz — koń ci jedną nogę strącił, a ty wszystko mnożysz i komplikujesz.

Słucham i dziwię się. Nie, nie temu, że mistrz naśmiewa się z Franka, ale temu, że ta rechocąca galareta, masa galarety, kopiec galarety, o łapskach koparki — nie zarżnął jeszcze żadnego ze swych pacjentów, ba — nie widziałem, żeby kiedykolwiek zaciął chociaż przypadkowo — najbardziej popryszczoną twarz.

Brzytwa ginęła w jego olbrzymiej dłoni. Ciągle na nowo przypatrywałem się zdumiony — tej grze. Z jednej strony gadająca, rechocąca galareta; wtedy brzytwa trzymana w dwu serdelkowych palcach rechotała razem z mistrzem, z drugiej — oczy klienta biegające za rozdrganym, roztańczonym ostrzem.

Wreszcie oczy wyłażą z orbit, usta wykrzywia grymas — to mistrz pochyla swą dwumetrową postać nad przerażonym delikwentem. Brzytwa z palców — serdelków niknie w dłoni. Kilka lekkich, delikatnych maźnięć dłonią po namydlonych policzkach i grymas ginie z ust, oczy wchodzą w orbity, zaczyna się akt drugi — upojenia. A ja byłem drugim czeladnikiem. Otrzymywałem prostsze strzyżenia i nieskomplikowane golenia pełnych, zadowolonych twarzy urzędników spółdzielni i synów właścicieli dobrze prosperujących warsztatów.

Wystarczyło spojrzenie mistrza i każdy z nas otrzymywał pacjenta.

Dziś rano właśnie — mistrz wysłał mnie po nowe flakony wody lawendowej. Zrzuciłem fartuch i coś tam sobie pogwizduje, nie myśląc o niczym ważnym, poszedłem w stronę klasztoru i rynku. Tutaj ją zobaczyłem. Stała pod oknem wystawowym, w którym kolory bluzek otulały sztuczne popiersia. W kręconych lokach włosów, w bluzeczce pełnej koronek, wydawała się woskowym manekinem. Tak była nierealna. Poruszyła się i znowu zastygła, wpatrzona całą istotą ciała w perkaliki, jedwab, koronki.

Wreszcie pierś uniosła się dużym westchnieniem. Ruszyła wolno i płynnie ulica w dół między stare kamieniczki. Poszedłem za nią. Nie wiem, o czym myślałem. Może nie myślałem w ogóle. Pozostało we mnie tylko wrażenie napięcia, świadomość wzruszenia, któremu nie umiałem się oprzeć. Zniknęła w bramie wąskiej kamieniczki. Stałem i z nadzieją, a także jakimś nieokreślonym żalem wpatrywałem się w okna. Wreszcie odkryłem to przysłonięte różowymi, pełnymi koronek firankami.

Wiedziałem już, że tam mieszka ona. Ona — nie wiem kto — dziewczyna z wystawy. Gapiłem się w to okno. Chodziłem wzdłuż chodnikiem. Liczyłem kroki. Tak policzyłem długość tej krótkiej uliczki Zielonej, na której nie dostrzegłem żadnego drzewa, żadnej trawy, żadnych kwiatów w oknach.

Z obu stron stały dwie murowane kamieniczki bliźniaczo do siebie podobne. Nawet obrywy tynku wydawały mi się jakby symetryczne. Jedyną różnicę stanowiły dwa rozmieszczone na przeciwnych krańcach sklepiki. Po stronie „dziewczyny spod wystawy" szyld nad drzwiami nosił napis: — „kapelusznik". Po drugiej stronie — stąd patrzyłem w okna zakryte różową firanką — mosiężny talerz na żelaznym ramieniu zwieszał się ponad chodnikiem a szare, nie myte chyba dawno okno wystawowe ukazywało ciemne wnętrze zakładu fryzjerskiego.

Zdumiałem się. Wydawało mi się, że znam wszystkich naszych konkurentów. A tymczasem tu, w tej małej uliczce ukrywał się nieznany mi zakład. Obejrzałem dokładnie puste wnętrze ciemnego pokoju. Dwa krzesła, dwa lustra, a między nimi na stoliku — olbrzymia, o wiele za duża brzytwa i czarny, niewielki grzebień. Jak urzeczony patrzyłem na te rekwizyty. Wtedy poczułem na sobie czyjąś dłoń. Dotknęła mnie lekko, ale wydało mi się, że moje ramię dotknęły pręty stalowe — żelazne ramię mosiężnego talerza.

Odwróciłem głowę. Za mną stał chudy, przeraźliwie chudy osobnik, w wiszącym jak szmaty, szarym ubraniu. Gładka twarz wydawała się czaszką obciągniętą żółto-zieloną ceratą.

— Pan do mnie. Proszę bardzo. Zaraz otworzę warsztat.

Nie powiedział zakład, tylko warsztat, a mnie ogarnęło przerażenie. Zamigotała mi w oczach wielka brzytwa, leżąca między obu lustrami.

— Nie, dziękuję. Ja tylko tak — tu mimowolnie, odruchowo zerknąłem w stronę różowego okna dziewczyny spod wystawy. Chudy pobiegł oczyma za moim wzrokiem, a kiedy znowu nasze oczy zetknęły się — moimi przerażonymi dostrzegłem w jego — blask zimnej stali.

— Szkoda — wyskandował — wielka szkoda. Bardzo żałuję. Ale pan tu przyjdzie — cedził każde słowo, każdą sylabę. — Pan tu przyjdzie do mnie. Pańska fryzura podoba mi się. Woła o fachowca.

Może, może. Ale nie teraz. Nie mam czasu. Muszę lecieć. Do widzenia — wykrztusiłem i prędko — na pewno za prędko — wycofałem się za róg ulicy. Kiedy wchodziłem na rynek, kiedy uświadomiłem sobie po co wysłał mnie mistrz, jednocześnie zdałem sobie sprawę, że tam, na Zielonej dziewczyna rozchyliła wreszcie firanki i chyba śmiała się, bo jej złote, kręcone loki podrygiwały na tle różowej firanki.

Taki obraz widziałem w pamięci i tak długo wywoływałem fotografię tamtej chwili, że po pewnym czasie nie wiedziałem już, czy obraz był naprawdę, czy wymyśliłem go siłą imaginacji.

W zakładzie mistrz zwymyślał mnie, zgnoił i unicestwił, więc chociaż chciałem się podzielić z nim i kulawym Frankiem odkryciem dziwnego zakładu fryzjerskiego na Zielonej, nie powiedziałem nic, zwłaszcza że była to sobota i klient gonił klienta. Roboty mieliśmy huk.

Po przyjściu do domu umyłem się, ogoliłem... i kiedy zegar na ratuszu wydzwonił wieczór, ratuszowy kogut rozpostarł skrzydła nad dachami kamieniczek, wstąpiłem w ulicę Zieloną. Zapatrzyłem się w małe, różowe okienko na pierwszym piętrze kamieniczki. Za firankami chodziła dziewczyna; jej cień olbrzymiał na różowej smudze, to znów znikał. Ulica była ciemna. Tylko jedno okno rzucało nikły odblask na jezdnię i przeciwległy budynek. Stałem w cieniu obok wystawowego okna zakładu chudego fryzjera. Pomyślałem o nim. Obejrzałem się trwożnie. Okno zakładu ciemniało jak lustro. Przesuwał się po nim cień. To on — pomyślałem — ale po chwili uspokoiłem się. To było moje odbicie w szybie. W tej chwili skrzypnęły drzwi. Wtuliłem się w czerń załomu. Z zakładu fryzjerskiego wyszło troje ludzi. Kiedy mijali mnie, wydawało mi się, że jeden z nich utyka. Weszli w przeciwległą bramę. Stałem jak sparaliżowany. Już chciałem uciekać, kiedy w różowym oknie zamigotał cień. Doskoczył do niego drugi. Oba cienie chwiać się poczęły we wszystkie strony. Zdałem sobie sprawę, że za różową zasłoną toczy się walka. Wreszcie wszystko zniknęło tak nagle, że pusta jasność okna wydała mi się zbrodnicza. Chciałem rzucić się na pomoc, ale już w drzwiach ujrzałem zagęszczenie cienia. Wyłoniły się trzy postacie. Niosły coś, co przypominało... Tak, tak... to były jej złote loki.

Jeszcze chwila — zauważą mnie. Wtedy koniec. Duża, olbrzymia brzytwa chudego fryzjera zamajaczyła przede mną w mroku.

Otwarły się drzwi zakładu. Zamknęły.

Tam, za wystawą rozbłysło światło. Waskim pasem przedarło się przez grubą zasłonę zaciągniętą od wewnątrz.

Przyskoczyłem do nikłej smugi światła. Musiałem wykręcić tułów w niesamowity półłuk, aby oko objęło część sali. Zobaczyłem dwa lustra i leżącą między nimi brzytwę. Ktoś stanął przed fotelem. Odsunął się. Znowu stanął. Coś robił. Ręce tego kogoś, jak skrzydła wiatraka biły w światło i ciemność. Wreszcie jakaś olbrzymia łapa sięgnęła po brzytwę. Patrzyłem na tę łapę. Znałem ją. To była ręka mistrza. Mojego.

Ręka ujęła brzytwę w dwa palce i wydawało mi się, że słyszę jakiś krzyk, a później rechot. W wibrującym rechocie chude, długie palce przeniosły ponad stolik głowę dziewczyny spod wystawy. Złote loki rozsypały się po stoliku.

Nie wytrzymałem. Krzyknąłem i oderwawszy się od szyby pognałem w ciemność. Dyżuryny milicjant nie mógł zrozumieć mojego bełkotania. Wiedziałem, że bełkocę, ale trzęsło mną wrażenie tej głowy na stoliku między lustrami, loków rozsypujących się półkolem.

Wreszcie wyciągnąłem patrol w noc w miasto. To niedaleko — mówiłem. To tu. Na Zielonej. Zabita dziewczyna sprzed wystawy. Zarżnięta brzytwą w zakładzie fryzjerskim u chudego. Trzeba aresztować zbrodniarzy, trzeba aresztować, trzeba aresztować...

• • •

Ktoś dotykał moich policzków, czoła. Robił to miękko, delikatnie. Otworzyłem oczy i krzyknąłem.

— Uspokój się, jestem przy tobie. Uspokój się. Już piąty dzień leżysz nieprzytomny. No, uspokój się, uspokój.

— Kiedy te ręce.

Mój mistrz uśmiechnął się, zdjął mgiełkę, delikatny puszek swoich dłoni z mojego czoła.

— Lepiej? No, nareszcie odezwałeś się. Baliśmy się, że wykitujesz. Gorączka dochodziła do 42 stopni. Kładliśmy lód na twoje czoło. O, podziękuj Frankowi. Gdyby nie ten kulawiec — pewno byś się nie wylizał.

— Jak to, to was nie aresztowała milicja?

— Nas, za co?

— No, za... — zająknąłem się. Rozejrzałem dokoła. Byliśmy sami w jakimś jasnym pokoiku. Stały tam jeszcze dwa łóżka. Nie zajęte. — Szpital — pomyślałem. Podniosłem głowę do ucha mistrza.

— Ja widziałem, jak pokrajaliście w trójkę tę dziewczynę.

— Jaką dziewczynę? Co to znaczy pokrajali?

— No, brzytwą, w tym zakładzie u chudego.

— U jakiego chudego, co ty bredzisz? Jaką dziewczynę?

— Tę spod wystawy.

— Co?

— Tę ze złotymi lokami. Widziałem jej głowę i te... te... te ręce.

Mistrz patrzy na mnie, później na swoje ręce. Jakby je pierwszy raz zobaczył. Ogląda.

— Co ty chcesz od moich rąk? I tak masz szczęście, że cię milicja nie zamknęła. Bredziłeś — jak teraz — o morderstwie i o ulicy Zielonej.

— Ja nie bredziłem. Ja tam byłem.

— Gdzie byłeś?

— No tam, na ulicy Zielonej. Małej ulicy, gdzie są dwa domy. Po jednej stronie sklep kapelusznika, a po drugiej ten zakład fryzjerski.

— Mój drogi. Ty masz jeszcze gorączkę. Ciągnąłeś milicję za sobą po całym nadrzeczu, po cmentarzu, po rynku. Wreszcie zdenerwowani wpakowali cię do przejeżdżającego wozu. Dopiero tam zobaczyli, że nie jesteś pijany, że masz gorączkę. A teraz, już bez gorączki, znowu bredzisz.

— Dlaczego bredzę.

— Na Zielonej nie ma i nie było żadnego zakładu fryzjerskiego. To jest ulica bez domów. Ulica pusta.

TADEUSZ SOKÓŁ

Rys. J. SIENKIEWICZ

Inaczej tego spektaklu nie mogę nazwać jak dużym koncertem. I pod wrażeniem tego koncertu cała, uważam „Jegora Bułyczewa" Gorkiego za wielki sukces telewizyjnego teatru, za osobisty triumf Jana Świderskiego, za sprawdzian znakomity Romana Kłosowskiego — reżysera, który, nie dziwacząc, nie eksperymentując, przeprowadził to przedstawienie przez wszystkie niebezpieczeństwa do finału, gdzie samotność głównego bohatera, postawionego w obliczu śmierci i świadomości zmarnowanych lat, była wielkim uogólnieniem upadku świata, który odchodzi.

Przyznam się do obaw wcześniejszych, z których naczelną była ta, jak zmieści się w telewizyjnym studio dramat przeznaczony na rzeczywiście dużą scenę, daleki od zachwalanej kameralistyki, jaka ma dominować, zdaniem znawców, w teatrze telewizji. Zmieścił się. Ba, nie tylko zmieścił, ale poszerzył ramy małego kadru: był spektaklem, w którym studium o odpowiedzialności jednostki, narzucające się zupełnie jednoznacznie pozostawało w znakomitej harmonii z okrutną analizą mieszczaństwa rosyjskiego. Był spektaklem poszerzającym wiedzę o początkach rewolucji, z pasją obnażającym jej praprzyczyny i podporządkowanym idei, że wolności należy się uczyć, że wolność jest odpowiedzialnością najpierw przed samym sobą. Paralele „Jegora Bułyczewa" z camusowskim pojęciem wolności narzucały mi się nieodparcie; oglądałam ten spektakl z przeświadczeniem, że przy całej klarowności, czystości i jednolitości ambicją jego było dotrzeć do skomplikowanego świata pojęć moralnych oraz znaleźć na nie odpowiedź.

O Świderskim i jego kreacji — pisać nie potrafię inaczej niż w superlatywach. Jak ten aktor koncertował, jaką maestrią gestu budował własną ułomność moralną i fizyczną, jakich szaleństw nie było w jego twarzy! — tego opowiedzieć nie sposób i starym recenzenckim unikiem zda się, mi przyjdzie posłużyć, gdy napiszę, że trzeba go było zobaczyć. Skrzywdziłabym resztę świetnych wykonawców, gdybym choć nazwisk tu nie przypomniała: widzieliśmy więc Szurę Traczykównę i Głafirę — Łaniewskiej, widzieliśmy tak rzadko goszczącą w telewizji Skarżankę — mroczną, urokliwą; grał Zaczyk, Lutkiewicz. W sumie było to jedno z tych przedstawień, które proszą się o wznowienie i które ze śmierci rosyjskiego kupca uczyniło przede wszystkim dramat sumienia, wielki proces z samym sobą.

Z innych dań, jakimi uraczyła nas telewizja w minionym tygodniu zasługują na uwagę „Listy śpiewające" Agnieszki Osieckiej, o których niejednokrotnie pisałam na tym miejscu z wielką sympatią, a dziś muszę powiedzieć, że coraz widoczniej tracą swój charakter śpiewający, stając się jeszcze jedną próbą nowej formy widowiska: ni to kabaretowego, ni to teatralnego. Ostatnie, poświęcone zazdrości i tak bardzo podporządkowane centralnej postaci Zofii Kucówny, były chyba już tylko teatrem. Nie uważałabym tego za złe, ale rzecz w tym, że ów teatrzyk z bardzo zgrabnym scenariuszem, z paroma ładnymi piosenkami (Zofia Merle z „Jarzębiną") obracał się w sferze dramatu literatury kuchennej i właściwie, mimo że momentami dowcipny, uciekał dość wyraźnie od poetyckiego humoru w stronę złego smaku literackiego. Strach pomyśleć, że mogło braknąć Kucówny, że inna mniej znakomita aktorka miotałaby się z tą swoją „Jalousie"; wtedy na pewno jeszcze ostrzej obnażyłby się nam naiwny bagaż treściowy widowiska. Osiecka na pewno inteligentnie robiła do tej pory swoje „Listy"; problem w tym, że nie chcąc uciec od tradycyjnego tematu pogodnej miłości, zaczyna się powtarzać i dreptać w miejscu. A to, niestety, z oryginalnością niewiele ma wspólnego...

Bardzo natomiast oryginalną formę reportażu zaproponował nam w poniedziałek (szkoda, że o tak późnej porze) Stefan Bratkowski, opowiadając o krzeszowickiej republice urwisów — czyli Domu Dziecka, z którego wyszedł nieomal sztab magistrów, profesorów, inżynierów i innych wartościowych ludzi. Abstrahując już od inteligentnego scenariusza, od świetnego komentarza, od świeżości i autentyzmu wypowiedzi byłych wychowanków — dobra technika ujęć filmowych oraz ciekawy montaż materiałów, tak rzadko spotykane w słabych na ogół formach reportażowych, były nie tylko dopełnieniem słowa, ale decydowały o jego nośności.

Krystyna

P. S.

Wypadałoby mi jeszcze przeprosić moich Czytelników za dwutygodniowe rozstanie, spowodowane nie tyle złymi intencjami piszącej, ile złymi narowami telewizora, który ma to do siebie, że stale się psuje i posłać piękny ukłon ZURiT-owi za tę chwalebną szybkość, z jaką pośpieszył mi na pomoc, dostarczając zastępczy odbiornik...

K.

Nowe sztuki polskich autorów

Repertuar naszych teatrów wzbogacił się o nowe pozycje autorów polskich.

„Wykrot" — to tytuł nowej sztuki Kazimierza Barnasia. Tematyka tego utworu obraca się w kręgu problematyki psychologicznej i moralnej, związanej z ostatnią wojną i jej wciąż jeszcze powracającymi konsekwencjami.

Jerzy Greń jest autorem jednoaktowej sztuki „W bramie". Utwór ten, wraz z drugą jednoaktówką tegoż autora pt. „Poszukiwany", stanowi całość sceniczną pod wspólnym tytułem „Po wyroku". Sztuka „W bramie" rozgrywa się podczas powstania warszawskiego.

Konfrontacja pokoleń, trudności ze znalezieniem wspólnej płaszczyzny, a także wnioski i refleksje — składają się na treść sztuki Józefa Fryźlewicza „Można tańczyć w słońcu".

Nowa sztuka Edmunda Pietryka „Wieczór białych tańców" ukazuje ludzi ze środowiska inicjatywy prywatnej.

Jerzy Jurandot w swej nowej sztuce „Pamiątkowa fotografia" sięgnął do przeszłości i ukazał wydarzenia rozgrywające się w latach trzydziestych.

„Przejazdem z Warszawy" — to tytuł jednoaktowej komedii Jana Ośnicy. Jest to konfrontacja dwóch światów: pary współczesnych turystów z bohaterami staropolskiego trójkąta miłosnego.

(Kt—PAP)

„Ja, książe Lubomirski zakazuję oświaty!"

(Ciąg dalszy ze str. 3)

dzieje się krzywda, ale i poddanym, bo nakładając synom na naukę — sami ubożeją przede wszystkim jednak — ubolewa Lubomirski — następuje upadek jego dóbr marniejących i opustoszałych. Na to sobie książę oczywiście pozwolić nie może, a więc w związku z tym poleca, aby po wakacjach już poddani nie ważyli się bez jego zgody posyłać swych synów do żadnych ze szkół „pod surową i nieodpuszczalną karą". Należy takich zbiegów — studentów łapać i „sekwestrować".

Ale to za mało. Musi przecież uprzedzić uczelnie. Robi to z całą czołobitnością prosząc rektorów akademii w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim (!), aby byli łaskawi nie przyjmować żadnych uczniów z jego dóbr bez wyraźnego zezwolenia.

Uniwersał nakazuje w końcu publikowanie treści w niedziele i dni targowe na rynkach miast i miasteczek, w folwarkach, w gromadach oraz wywieszenie odpisu dokumentu na drzwiach ratusza.

Mam przed sobą dokument pisany z pasją i złością, o dobitnych, dosadnych wyrażeniach. Mamy również obraz wychodźtwa młodych wiejskich chłopców aż do odległych, jak należy przypuszczać, szkół.

Jest to dokument noszący wybitnie klasowy charakter ochrony klejnotu szlacheckiego, a przede wszystkim własnych interesów. Oczywiście, utrzymanie stanu chłopskiego w ciemnocie i zacofaniu było dla oligarchów korzystne.

Ale z dokumentu tego wynika również zasadniczy fakt. Wynika obraz światłych, postępowych nurtów młodego pokolenia wsi polskiej, dążność do nauki, do wiedzy.

To nowe pokolenie będzie już wkrótce w okresie reform drugiej połowy XVIII wieku inicjatorem szeregu przemian społecznych, szczególnie w walce o społeczne wyzwolenie i przeobrażenie wsi polskiej.

ZBIGNIEW DYDEK

*) Akta sądu wójtowsko-ławniczego w Rzeszowie, Archiwum Państwowe, Rzeszów, Tom XI, s. 540—542, rok 1743.

WALDEMAR ROŻNIATA — kierownik Młodzieżowego Klubu ZMS „Szklana Grota" w Krośnie. *Rys. J. SIENKIEWICZ*

Zdarzenia tygodnia

W Państwowym Teatrze im. W. Siemaszkowej odbyła się premiera sztuki A. Czechowa pt. „Trzy siostry". Spektakl wyreżyserował dyrektor rzeszowskiego teatru, Stanisław Bieliński, asystent reżysera Zofia Gorczyńska. Oprawa scenograficzna Jerzego Szymańskiego.

• • •

4 bm. w sali WDK odbył się koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, przygotowany z okazji 49 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Orkiestra, którą dyrygował Tadeusz Chachaj, wykonała m. in. utwory M. Spisaka, D. Kabalewskiego, a Henryk Grychnik, tenor Opery Bytomskiej śpiewał pieśni oraz arie operowe kompozytorów polskich i radzieckich. W programie wystąpiła również pianistka Zdzisława Ząbkowa, nauczycielka Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej w Rzeszowa.

• • •

Od 13 bm., tj. od niedzieli, w sali wystawowej rzeszowskiego WDK czynna będzie wystawa prac plastyków amatorów — plonu pleneru, zorganizowanego przez tę placówkę we wrześniu br. w Lesku. Jak już informowaliśmy, uczestniczyło w nim 20 osób z terenu naszego województwa, dla których pobyt w Lesku był dobrą okazją próby możliwości, jak również doskonalenia warsztatu.

Z okazji uroczystości otwarcia plastycy amatorzy otrzymają nagrody w formie przyborów malarskich.

Chętnych obejrzenia wystawy informujemy, że można ją będzie zwiedzać do 22 listopada br.

• • •

9 listopada rozpoczęła się w Jarosławiu kursokonferencja dla kadry kierowniczej placówek kulturalno - oświatowych z woj. rzeszowskiego. Wzięli w niej udział kierownicy powiatowych i zakładowych domów kultury, klubów fabrycznych i powiatowych ośrodków instrukcyjno-metodycznych. Tematem sesji był warsztat pracy pracownika kulturalno-oświatowego.

• • •

13 bm., tj. w niedzielę, w lokalu Państwowego Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie odbędzie się Wojewódzki Zjazd Miłośników Teatru, organizowany przez Oddział Wojewódzki ZTA, Wydział Kultury Prez. WRN i ZW ZMW. W zjeździe wezmą udział działacze kół miłośników teatru, kierownicy zespołów teatralnych i ludzie teatru zawodowego.

Referat programowy nt. „Ruch miłośnictwa teatru i jego aktualne zadania w świetle współczesności" wygłosi mgr Zbigniew Umiński, wiceprzewodniczący Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie.

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej wystawi dla uczestników zjazdu komedię A. Cwojdzińskiego pt. „Hipnoza" w reżyserii Jerzego Pleśniarowicza.

• • •

7 listopada w Wojewódzkim Domu Kultury rozpoczął się 2-tygodniowy kurs przysposabiający do pracy kulturalno-oświatowej dla kierowników świetlic PGR i POM woj. rzeszowskiego.

Uczestnicy szkolenia (30 osób) zapoznają się praktycznie z formami pracy, stosowanymi w placówkach kulturalno-oświatowych, ze szczególnym uwzględnieniem specyfiki środowiska wiejskiego.

Kurs zorganizowany został przez WDK, Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Pracowników Rolnych oraz Zarząd Wojewódzki PGR.

• • •

11 bm. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie rozpoczął się cykl odczytów, zatytułowany „Wędrówka w zamierzchłe czasy". Obejmuje on zagadnienia archeologiczne, począwszy od epoki neolitu aż do okresu wczesnego średniowiecza. Odczyty ilustrowane reprodukcjami i oryginalnymi eksponatami będą się odbywać co dwa tygodnie w lokalu Muzeum.

Wykład inauguracyjny nt. „Ludzie epoki neolitu" wygłosił Tadeusz Aksamit.

• • •

5 bm. w ramach Wojewódzkiej Sceny Amatora w sali widowiskowej WDK odbył się występ zespołu regionalnego GS „Samopomoc Chłopska" z Gaci, pow. Przeworsk.

• • •

W Łańcucie trwa kurs kulturalno-oświatowy dla aktywu wiejskiego tego powiatu, zorganizowany przez Powiatowy Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny. Jest to kontynuacja, rozpoczętego wiosną br. szkolenia wiejskiego aktywu kulturalno-oświatowego.

Miguel Cervantes: DON KICHOT. Przeł. A. L. Czerny i Z. Czerny. Cz. 1—2. Wwa 1966 PIW s. 630+638, cena zł 80.

Trzecie tłumaczenie na język polski arcydzieła literatury hiszpańskiej XVII w. Autor dając przekrój wszystkich warstw społecznych ukazuje całą rzeczywistość swojego kraju. Doskonały komizm sytuacyjny i wyrazowy.

—o—

Władysław Pawlak: ŻYCIE PO AMERYKAŃSKU. Wwa 1966 Iskry s. 411, cena zł 26.

Autor w latach 1959—1964 przebywał w Nowym Jorku jako korespondent Polskiego Radia przy ONZ. Plonem jego podróży po Ameryce jest ten wielki reportaż, mówiący o tym, jak żyją ludzie w tym kraju. Liczne ilustracje.

—o—

Mika Waltari: KARIN, CÓRKA MONSA. Przeł. Zygmunt Łanowski. Wwa 1966 PIW s. 283, cena zł 18.

Interesująca powieść historyczna współczesnego pisarza fińskiego. Opowiada o romantycznych dziejach króla Szwecji — Eryka XIV, który ożenił się z wielkiej miłości z dziewczyną z ludu i koronował ją na królową.

—o—

Jean Piaget: STUDIA Z PSYCHOLOGII DZIECKA. Wwa 1966 PWN s. 159, cena zł 10.

Nowy tomik „Omegi". Autor-filozof, psycholog i pedagog szwajcarski. W sześciu zamieszczonych w książce studiach zawarte są jego poglądy na psychologię i teorię poznania. Znajdziemy tu m. in. wiadomości o rozwoju umysłowym i myśleniu dziecka oraz o genezie i strukturze w psychologii inteligencji.

—o—

Tarjei Vesaas: NOCNE CZUWANIE. Przeł. B. Hlasko. Wwa 1966 PIW s. 188, cena zł 12.

Świetnie napisana powieść o zbrodni i pokucie za nią. Autorem jej jest znany pisarz norweski starszego pokolenia.

—o—

Janusz Gumkowski: MŁODZIEŻ POLSKA PODCZAS OKUPACJI 1939—1945. Wwa 1966 Iskry s. 150, cena zł 10.

Praca ukazuje tylko niektóre problemy związane z tym tematem, przede wszystkim zaś te metody w polityce hitlerowskiej, które były środkiem do fizycznego wyniszczenia młodzieży polskiej.

—o—

Zygmunt Stoberski: JUGOSŁAWIA. Wwa 1966 „Sport i Turystyka" s. 150, cena zł 80.

Album w bogatej części ilustracyjnej ukazuje piękno krajobrazu, architektury i sztuki narodów Jugosławii. Ciekawy wstęp, wprowadzający w historię i współczesność tego kraju.

—o—

Tadeusz M. Jaroszewski: LAICYZACJA. Wwa 1966 Iskry s. 241, cena zł 8.

Tomik z serii „Co to jest". W popularny sposób przedstawia istotę laicyzacji oraz zjawiska z nią związane w życiu publicznym i jednostkowym ludzi współczesnych.

—o—

Aleksander Puszkin: LIRYKI I BALLADY. Wwa 1966 PIW s. 279, cena zł 20.

Bibliofilskie wydanie wyboru poezji najwybitniejszego poety rosyjskiego XIX wieku. Obszerny wstęp i przypisy Mariana Toporowskiego.

—o—

Leonard Ratajczyk: POLSKA WOJNA PARTYZANCKA 1863—1864. Okres dyktatury Romualda Traugutta. Wwa 1966 MON s. 395, cena zł 58.

Próba monografii ostatniego okresu powstania styczniowego, oparta o istniejące źródła biblioteczne i archiwalne. Liczne ilustracje i szkice sytuacyjne, indeksy nazw i nazwisk.

—o—

MŁODZIEŻ W PIĘCIOLATCE. Wywiady w sekretarzami Komitetów Wojewódzkich PZPR. Wwa 1966 Iskry s. 183, cena zł 8.

20 wypowiedzi traktujących o najważniejszych problemach młodego pokolenia, wśród których wybijają się zagadnienia związane z nauką zawodu oraz praca zawodowa. M. in. wypowiedź Władysława Kruczka — I sekretarza KW PZPR w Rzeszowie, ukazująca specyfikę tych zjawisk w regionie rzeszowskim.

—o—

ÓSMY ZJAZD RKP(b). Protokoły. Wwa 1966 KiW s. 754, cena zł 60.

Opatrzone wstępem, przypisami i skorowidzami protokoły z posiedzeń Zjazdu, który odbył się w marcu 1919 r.

—o—

Emilia Żyro: POJĘCIE SPRAWIEDLIWOŚCI U KAROLA MARKSA. Wwa 1966 KiW s. 183, cena zł 23.

Tom „Biblioteki Studiów nad Marksizmem" Ukazuje różne aspekty pojęcia sprawiedliwości u Marksa (klasowy, socjologiczny, etyczny).

—o—

Korniej Czukowski: SREBRNA ODZNAKA. Przeł. J. Litwiniuk. Wwa 1966 Iskry s. 199, cena zł 12.

Nowa powieść dla dzieci wybitnego radzieckiego pisarza, poety, krytyka literackiego i tłumacza, odznaczonego za całokształt twórczości Orderem Lenina. Dla uczniów szkoły podstawowej.

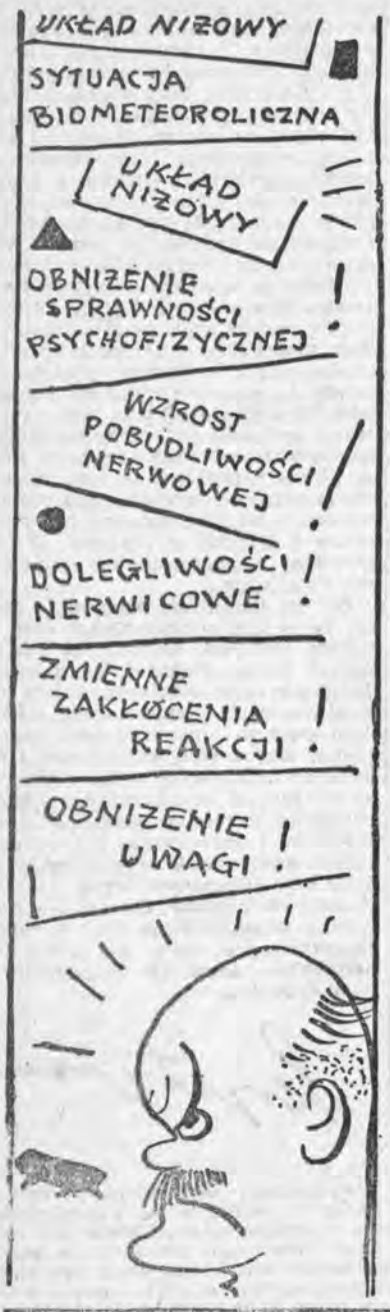

ALBOŚMY TO CACY, CACY...

„Nie dajmy się zwariować"

Jestem człowiekiem bez reszty sfrustrowanym. Nigdy bym na to nie wpadł, tylko ktoś na górze — wpadł, że w trosce o moje zdrowie należy mnie masowo przebadać. No i zatroszczyli się o mnie. Eskulap z miejsca pokręcił głową i pyta:

— Głowa boli?

— Nie boli.

— Dziwne! Ciśnienie 110/90. Powinna boleć...

Myślę sobie dobrze się zaczyna, człowieka szlak by trafił, bez uświadomienia.

— Co robić panie doktorze — pytam .

— Zadbać o zdrowie.

A więc zacząłem dbać. Zwłaszcza, że od tego czasu bardzo źle znoszę niże barometryczne. Dla lepszego samopoczucia kupiłem sobie barometr. Codziennie rano z biciem serca patrzę: niż czy wyż! Niedługo po tym zaprenumerowałem jedno poczytne pismo, które codziennie zamieszcza komunikaty biometeorologiczne. Pilnie je studiuję. Czytam te wszystkie nowości nauki na temat oddziaływania sytuacji biometeorologicznej na samopoczucie jednostki. Wysłuchałem wiele interesujących i niezwykle mądrych odczytów neurologów, psychologów i psychiatrów. Ba, nawet uwierzyłem w mądrość ludową. Wojtek Pawlica mawiał zawsze:

— Ale dmucha. Ktosik się znowu powiesił.

— Brednie — wykrzykiwałem. Mea culpa. A teraz? Nauka, mądrość Wojtka potwierdza.

Mimo tych wszystkich zabiegów psychofizycznych ze mną coraz gorzej i ledwo zipię. 5 bm. w poczytnym piśmie przeczytałem: *„Obszar niżowy z frontami ciepłym i chłodnym, w Tatrach powoli słabnący halny — zmienne zakłócenia reakcji, obniżenie uwagi, silne zakłócenia sprawności psychofizycznej z pogłębieniem się dolegliwości nerwicowych i reumatycznych".*

No i bierz się bracie w taki dzień do roboty. Nie dość, że mam silnie zakłóconą sprawność psychofizyczną, to po młodzieńczym romantyzmie pozostał mi jedynie reumatyzm, który gnębi mnie codziennie, a w sobotę się pogłębił.

Szóstego była niedziela, ale sytuacja nie lepsza.

„W Tatrach halny — obniżenie sprawności psychofizycznej, wzrost pobudliwości nerwowej, dolegliwości nerwicowe".

Kiedyś, a było to parę lat temu, jak wstałem rano sfrustrowany, o czym zresztą nie wiedziałem, żona pytała mnie przymilnie:

— Co to kochanie wstałeś lewą nogą?

Dzisiaj i żona jest oblatana. Popatrzy tylko na mnie i woła do dzieci:

— Halny wieje — wynoście się na podwórze. Nie widzicie, że tatuś jest sfrustrowany.

Ta jej przezorność jest zrozumiała. Bo w czasie jednego halniaka jakżem dmuchnął najmłodszego, to parę dni miał trudności w siedzeniu na stołku.

Ja wiem, że to nieładnie, ale cóż poradzę na wzrost pobudliwości.

7-go załamał mnie „Wicherek". Koleżanka przyszła do pracy również po nieprzespanej nocy i znalazłem u niej pełne zrozumienie. O naszych dolegliwościach rozprawialiśmy do południa.

8-go dowiedziałem się: *„W Tatrach strefa przejściowa, okresowo — halny. W rejonach podgórskich zakłócenia reakcji i obniżenie samopoczucia".*

A więc sytuacja bez zmian i jakie może być moje samopoczucie. Znienawidziłem nawet ulubioną arię Jontka z „Halki", bo proszę obywateli co to znaczy: „Szumią jodły na gór szczycie".

To nic, że szumią, ale dlaczego? To jasne, bo wiatr dmucha. A jaki wiatr może dmuchać w górach?...

To dziwne, ale jak usłyszę „halny", to zatykam sobie uszy watą. Człowiek dziwnych zaczyna dostawać ciągot. Nie wiem dlaczego, ale mam okropną ochotę zadyndać na wierzbie, którą widać z mojego okna i to koniecznie na konarze z trzema ostatnimi złoto-rdzawymi listkami.

— ...Co, jestem stuknięty? O nie! Jestem tylko człowiekiem epoki atomu, a jej hasło:

„Nie dajmy się zwariować"!

Nie zapominam i boję się!

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony 2057 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.